

## **Оссолінські колекції.**

**CD – диск виконано в рамках угоди укладеної з квітня 2004 р. між Львівською науковою бібліотекою НАН України у Львові і Національним Закладом ім. Оссолінських у Вроцлаві.**

Lwowska Naukowa Biblioteka im. W. Stefanyka NAN Ukrainy. Oddział Rękopisów.

Zespół (fond) 4.

Zbiór rękopisów Biblioteki Baworowskich

Dział (opys) 1

1432. Rozalia, powieść z XIX w.

*STRONY NIEZAPISANE NIE ZOSTAŁY ZDIGITALIZOWANE*

Львівська бібліотека  
АН УРСР

ВІДЕЛ РУКОПИСІВ

Дод. 1432

VIII, c. 56

X. -

H. Spittal. K. K. 318/30

Fr. 2. -

# Rozalia

Z księgozbioru  
Stanisława Spittala

Dział, I No, \_\_\_\_\_

Wybita dziewczęta: młody lekarz Stern rzucił pióro, westchnął i wstał od biurka.

— Ety, dziś już nic robić nie mogę, wyrzucił suwając ręką po stole; moje rozprawę o leczenia chorób dziecięcych mógłbym nasamprzód do siebie zastosować. Tak — dziecko ze mnie, i to

chore dziecko; a będąc lekarzem sam siebie wy-  
 leczyć nie mogę. — Ej! do śniada! i czemuż, mówił  
 dalej, z niechęcią; raz się śniada odwarzyć, raz  
 tylko mocno a szybko postarowić, to znowu  
 mię fala unosi; i cały ten świat urojony, uszuc  
 szalonych, zostawiam daleko za sobą. —

W tém otwartę się drzwi, i wszedł jakiś mło-  
 dy mężczyzna modnie wystrojony. Na widok ob-  
 cego wyjasniła się zaskoczona mina młode-  
 go lekarza, i postąpił ku niemu z utożeniem  
 najgrzeźniejszym.

— A! Dobry dzień, kochany, Forsbergu; w  
 jakimże to smaxeniu przychodzisz? zapytał,  
 przyjaciel czy nieprzyjaciel, chory czy odwiedzi-  
 ny?

— Właściwie i jedno i drugie; ale raczej osta-  
 trze jak pierwsze.

— No, to musisz się spieszyć, bo mój powoz  
 niebawem po mnie zajędźca; ale usiądź, i  
 możemy rozmawiać, zanim ja się ubiorę.

— I śladzie taki pospiech? mówił Torstberg, z uśmiechem. Łoży się, jakby spis twych pacjentów przy najmniej, się o sześć stronnic powiększył, i że potowa miasta mdleje za swym aniołem wybawcą, w postaci jasno-włosego uśmiecha Eshulapa, przed którym każdy grabarz zkapkę z uszanowaniem zdejmuje.

— Co ty wiesz? odpowiedział lekarz. Ty jako metody radzca finansow nie masz nic do czynienia, chyba codziennie z urzędu trzyjów zaletemperować, a finanse krajowe zostawiasz opiece opatrznosci; twoje własne takie a nie wiele sprawniają zachodu; bo opatrność mądre zapobiega, aby cię nie obciążać za nadto.

— Otóż się mylisz, odrzekł metody radzca z uśmiechem; bo właśnie przyszłom zauwadić cię o swojej świeżej fortunie. Moja stara ciotka, pomimo całej nienawisii, jaką miała do mnie rozrzutnika, hulaki, umarta bez testa-

mentu. Ja jestem najbliższym jej krewnym i jedynym dziedzicem — ergo, widzisz przed sobą pana pięknej kamienicy i 70 do 80 tysięcy talarów — ergo, jestem cotygodniowym urzędowcem urzędowych finansów, — ergo, mogą teraz pomyśleć o jakiej bogatej i miłej towarzysze, aby przyjęła me serce i rękę, a przytém dom i wszystkie stare szafy ciotki napełnione srebrem, porcelaną, miedziami i bielizną w dodatku.

Schwarz westchnąwszy lekko, powinszował przyjacielowi.

— Oby, rzekł, niebo i mnie podobną ciotkę zastało, ale na urzędowość, cały świat może wymrzeć, a ja ani szelaga nie odziedziczę.

— Ale zato, odpowiedział Forsberg z pewnym rodzajem ironiji, ty jesteś synem twych dziad, twych cnót, masz świetną praktykę, która ci za majątek stanie.

11

— Żartuj sobie, żartuj, odrzekł Stern, chociaż  
to prawda co mówisz — i w tem moja buma.

Nie taitem nigdy, że moi rodzice są tyśkow-  
bodny, rzemieślnicy. Szczęśliwy przypadek ze  
szkoly biednych przeniósł mię do bezpłatnego  
zakładu, którego mi dostarczył funduszu na  
nauki. Dając lekcyjne i pisząc dla drugich ro-  
sprawy, uzbierałem grosz potrzebny dla dosty-  
pienia stopni. Teraz, przebywszy liczne cierpie-  
nia, pracuję na życie i z mojej praktyki mo-  
gę już utrzymać powóz i konie. Jest to ztem,  
dosyć drogiem, ale dla lekarza koniackim,  
moim powiedzieć głupstwem, do którego  
nas zmusza ta gawiedź z głową barania,  
co więcej ufa w konie i powóz jak w poch-  
ciwego człowieka.

— A prawda, przypominam sobie bardzo do-  
brze, jak ubogi lekarz biegł jeszeze piechota,  
mówił Forsberg z uśmiechem, jak nieraz pót

godzinami stał przy magazynach rybn, aby zapętnić czas wolny; aż tu jedyn raz tajemny radzca de Pinzer kazał go wezwać do siebie wśród nocy, i odtąd przez swoje zalecania mnóstwo mu domów otworzył.

Stern zachwycił się, nieco nim odpowiedział na uśmiech przyjaciela.

— Tak jest, wielom winien temu szanownemu mężowi, mówił na tenże; ale jak widzisz, czyż mnie s tēn lepiej? Mam wysradzic praktykę, która mi rucie kilka tysięcy talarów; ależ zato muszę trzymać honie, prowadzić dom daleko wystawniejszy, bywać na wielkim świecie, a prócz tego tyle do czynienia z drugimi, tyle kłopotów; że udreżony i zmęczony temi nieciermnosćiami, ledwie że chwilę mogę o sobie pomyśleć.

— Lekarz, odpowiedział Forsberg, powinien

żyć tylko dla cierpiącej ludzkości — to jest jego powołaniem; ty zaś, jak mi mówiono, używasz czasu, nie zupełnie tak bez interesu, jakbys się chciał okazać.

— Coś chcesz przeto powiedzieć? zapytał Stern zmieszany cokolwiek.

— Powiem ci otwarcie, mój Drogi, odpowiedział radca, słychać, że od niejakego czasu tak jesteś zamysłonym, tak nie swoim, i takim sentymentalnym, żeś się musiał po uszy zakochać, i nawet jak mówią jesteś się gotów ożenić.

— Ciekawym kto to powiada? odrzekł lekarz.

— Wszyscy! zawołał radca. Albo cię to gniewa? Nie masz-że już trzeci krzyżyk? I dla czegoż nie miałbys już zostać małżonkiem, ojcem, rycerzem pantofla i wychowywać małe dzieci?

— I jakże to królową uracza mi, ten świat szalony? zapytał Stern.

Forsberg wstał, i ujął przyjaciela za rękę.  
 — Teraz, rzekł, pomóż mi na prawdę. Wiem,  
 mój przyjacielu, jak drogie i trwałe wartości ta-  
 cza ci z ubogą Koraliją; wiem, że cały swój  
 był prawie winien tej dziewczynie. Od kilku  
 lat stawałaś się u jej rodziców; ona ci oży-  
 wiała odwagę, gdyś upadał, powieszała, gdyś  
 rozpaczał, w nadziei, że przyjdzie czas i jej,  
 musosi się wynagrodzić.

— Powalam, odrzekł Stern z żywością, ale  
 przyrzeczenie żadne mi z nią nie tażyło.

Forsberg, wpatrując się weni,

— Nie sądzi, mowit dalej, że w stosun-  
 kach tak serdecznych jak twoje i z twoim cha-  
 rakterem, tego było potrzeba. Ja co innego, po-  
 niważ przez całe byłem jednym s tych ludzi,  
 którym gorąca krew dosyć wyplatała figlów.  
 Więcej, dwudziestu razy byłem zaskochany ssa-

lenie, a paucost 12. mocnym postanowieniem zmi-  
 nienia się; nawet 2 dziesięć razy oświadczy-  
 tem się uroczyście swoim normalnym ko-  
 chankom; lecz nie minęło cetero tygodnie, a  
 już oboje wiedzieliśmy, s pewnością, że ste-  
 go nie nie będzie. Ale ty, cetero powa-  
 żny, i systematyczny, którego jedno spojrze-  
 nie więcej, znaczy, jak moje wszystkie  
 przysięgi młodości, nie potrzebujesz swą mi-  
 łość na przyrzeczeniach opierać. Rozalia  
 mocno ci ufa, nawet bez oświadczenia swojej  
 strony; a potem cetero <sup>lat</sup> nikt nie utrzy-  
 muje tak ścisły stosunek i paniensko, nie  
 mając na celu posiadania, matienstwa,  
 tego zwyyczajnego rozwiązania wszystkich  
 stosunków młodosnych.

— A zatem mówią, że się ożenił z Rozalią,  
 zapytał lekarz.

— Nie zupełnie. Mitośny, stosunek ubo-  
giego lekarza, z córką niebogatego malarza,  
niemającego tylko tytuł profesora; nie jest  
jeszcze dosyć znanym tej strony. Kilka  
osób, smiało tę tylko uwagę zrobić, że od sze-  
ściu miesięcy, jak trzymasz konie i pawoź,  
bardzo rzadko bywasz w tym domu; a zato,  
jak twierdzą drudzy, daleko częściej u Penze-  
row; że ich córka, panna Sydonia bardzo  
ci wypadła w oko, i że nawet wkrótce przy-  
stasz jej, zerwolenie!

— Fataś, brednie! zawołał Stern, ale obra-  
cił się do otęka, chcąc ukryć rumieniec, co mu  
wystąpił na twarzy;

— Sternie, patrz mi w oczy i mów otwarcie.  
Sydonia — jest ładna, i nie dziwi mię wcale,  
żeś się nią zajął wchłowiek; ona ma serce  
wyborne, ale wychowanie damy wielkiego swia-

ta; jej ojciec ma znaczenie i wiele wpływu, ale nie jest bogatym; a potem to dziecko nieco hałpysne i rozpuszczone uciechami wielkiego świata, wcale nie odpowiada prostocie twojego charakteru, twojej powadze, twojemu parrotowaniu porządku i życia domowego. Sydonii potrzeba człowieka z majątkiem, chcącego w niej znaleźć piękna damę, żeby urniała s tym dobornym i delikatnym smakiem robić mu honory domu, a takim ja jestem, mój Sternie!

— Ty? zawołał z zdziwieniem lekarz.

— Tak, ja nim jestem, odpowiedział radca; zostawisz na raz panem, potrafię zmieścić te hałpysy i ten podryw do zabaw. Sydonia kocham, i jeżeli prawda, że świat omylił się względem ciebie, gotów jestem porozić o jej imię.

— Czy to postanowienie, zapisał lekarz spokojnie, wpadło ci tak nagle jak pieniądź?

— Oczywiście! zawołał radca. Gdybyin był

ubogim, nie chciałbym jej ręki, ani bym ją mógł  
otrzymać. Chcąc zastąpić osobę jak Sydonia,  
na to potrzeba pieniędzy. Dla mnie, z moim  
majątkiem, byłaby ona skutkiem bardzo ko-  
statownym. Dowcipna, żywa, mająca wycho-  
wanie odnaczające, i ojca petrega wystywu,  
jeonim słowem kobieta jakiej, mnie potrze-  
ba; i zdaje mi się, <sup>że</sup> moje z nią połączenie po-  
winno być równie szczęśliwem, jak twój s-  
tę miłą Rozalią, tak poważną, czułą i tak  
nawykłą do życia w zacisku domowem. Jej  
tegi, dojrzały umysł ożeni się z tegością i doj-  
rzalością twójego; równie jak moje upodo-  
banie w zabawach towarzyskich, z lekkim  
i błyskotnym dowcipem Sydonii. — Otóż  
rzecz skłoniona, mówił dalej, zatrzymując  
się nieco i biorąc za rękę przyjaciela patrzy-  
cego nań poważnie w milczeniu i zimno,  
— potrzebuje tylko przysłać serce Sydonii.  
— Tak! — obawiam się, abys nie przyszedł za

pożno, odpowiedział Stern oziębło.

— I któżby to mię uprzedził?

— Ja - rzekł lekarz s powagą.

Radca wypatrzył się nań z zadziwieniem.

— A! więc to prawda co mówią, zawołał, i taki, oskarżales innych o kłamstwo, a sam kłamales!

— Kiedyś mię już tak znudził, więc więdz o tem: że się żenię s panną Pinzerówną.

— Czy może być, zawołał Forsberg, a sumienior ci nie nie wyrzucą?

— A to dobra, odrzekł Stern. Alboi ja Rozalii datem śledy słowo, żenienia się z nią? Nigdy - przysięgam ci na to! Nasia miłość była ciagle czystą i cnotą, przyjaźnią tylko, nikim więcej; najmniejszej ni było przystem żadny narriętniej; Mogłem wyprawdzie miewać czasami myśli zmieniające ku ścisłejzemu potężeraniu, Rozalia

mogła także tak myśleć, i stąd moje dłu-  
ga nawa przyjaźni stawała się serdecz-  
niejsza; ale odtąd niechęć już więcej, aie-  
by te marzenia przeszłości, które mi  
ma przyszłości. Gdybym jeszcze był bo-  
gатыm i niezawistym jak ty, s powodu  
śmierci ciotki, mógłbym dać posłuch, jeżeli  
nie miłosi, to przynajmniej wdzięczności,  
i ożeniłbym się z Rozalia; ale będąc ubogim,  
muszę honorownie potać się s familią,  
której, wpływ może mi zapewnić wywie-  
szenie.

— Czy także powody zniechęcają cię do te-  
go kroku? zapytał Fortberg, z ironią.

— Mylisz się, odrzekł lekarz z żywością,  
one mnie tak zniechęcają, jak ciebie, ani  
mniej, ani więcej; Kocham Sydonia, ale ta  
miłość taży w sobie i rozważy rozumu, bo,  
potrzeba ci wiedzieć, nigdy nie byłem pastwą

mych namiętności, chociaż się, twarde i gorzkie  
lata próby, przebyło. I teraz, chyba tylko szat  
młodego wieku mógłby mi, pobudzić, ażebym  
pomysłność mojej, przyjaźni poświęcił zasłu-  
bieniu dziewczyny, nie mającej nic prócz  
serca.

— Bez którego możesz się obejść, nieprawdaż?  
dodał Forstberg z goryczą.

Leharsz spojrział na zegarek i chwycił  
kapelusz.

— Przepraszam cię, rzekł, muszę się spieszyć.

— Idź, idź! zawołał radca z gniewem, idź le-  
czyć innych cierpienia; ale patrz, abyś w  
krótce nadaremnie lekarza dla tych wła-  
snych nie szukał. Jeszcze jedno, Sternie,  
masz ty pozwolenie ojca Sydonii?

— Jeszcze nie; ale spodziewam się że mi  
nie odmówią.

— I skądie taka pewność?

— Są dla mnie bardzo ryetliwi, odpowiedział.

lekarz; i temu jedynie winniem nietychich  
 pobłażanie moim urzuciom dla Sydonii; ale  
 nawet pewność bliższej jej nominacji na  
 stopień radcy mdyanego. Od tygodnia mam  
 w kuracji księcia Gustawa, i niechybnie zosta-  
 nę ordynariuszem księcia. Widzisz więc, mój  
 Kochany, jak piękne pierwsze owoce mojej  
 mądrości i mego roztropnego postępowania.  
 Teraz sam powiedz, czy mam naradzić się  
 się tych wszystkich korzyści, i ledwieżem się  
 dorobit cokolwiek uciążliwego bytu, znowu  
 samowolnie wpadać w rękę i poniewierki.  
 Większą część pacjentów mam z taśki i zale-  
 cenia tajnego radcy; jedno słowo z jego ust,  
 a moja zguba niechybna. Lekarz powinien  
 zawsze szukać związków siwiciwiejszych. Gdy-  
 bym się ożenił z Rozalią, zagroziłbym so-  
 bie na zawsze wstęp do towarzystw, gdzie  
 teraz bywam. Być może, że nie zrobił u-  
 trzymując przez ctery lat z nią stosunki; ale

czyż można wymagać, ażebym dla ptochości  
młodzieńczej, istotne głupstwo popełnił?

— Głównie mówisz, odrzekł radca, światia-  
leko przedzej niegodziwość przebażny. —

— Ach! co to za niestrzeżenie, dodał lekarz z  
wzrostem, że w młodym wieku, zacho-  
chani po raz pierwszy, podajemy się zupeł-  
nie natchnieniom serca, wcale nie zważając  
na rozum. Tym to sposobem tysiące mło-  
dzi zawierają związki i żenia się, czasami  
jeszcze w zupełnej, utrudzie, czasami, wytrwa-  
wiości, się już z marzeń; a zawrze w dobrej,  
wierze, że można, bądź co bądź, błąd poświęce-  
niem okupić. W obu razach sptacają oni  
zawrze dług szczęściem swojego życia. Ci zaś  
co mają dosyć zastanowienia, że wczas po-  
strzega niestrzeżenie, i co wola przedzej, znieść  
gadaniiny ludzkie, jak siebie umieszczęliwieć  
i drugich; takich świat potępia i hanbi. —  
Alboto ostowieśi dojrzaly, zawrze ma pohuto-

wać za szaty młodoci? Czyż słowo dane do za-  
kochanego i namiętnego młodzieńca, mara-  
gliszyc sumienie męża? nie jest to daleko  
wspanialej, złamać nieroztropne przyrzecze-  
nie; niżeli dla śmiesznej próżności dotrzy-  
mania go w oczach świata, rzucić taburek  
w morze i spalić swój okret?

Młody, w milczeniu poglądał przed siebie.

— W istocie, obrzekt na koniec, na to potrze-  
ba głupca, ażeby, jedynie dla dotrzymania sto-  
wa, rzucić się w wirujący otwór; a nieszcze-  
śliwe małżeństwo jest daleko straszniej-  
sze. Tylko to ogromna różnica, jeżeli nie do-  
trzymanie słowa, tłómaczy głębokie przecho-  
wanie o przyszłym nieszczęściu, w unie-  
sieniu bowiem widziano tylko powtórnę  
nie przedmiot: lecz wcale co innego, gdzie  
podły interes, korzyści czysto powierzchow-  
ne, duma i zły duch pychły spoczywający  
w gruncie ludzkiego serca; stłumia najśla-

chętniejsze uczucia. Twojém rozumowaniem  
można bronić wszelkiej niesprawiedliwo-  
ści pod stołcem; morderca nawet, i twor-  
zywszy sobie filozofią, która go w mniema-  
niem prawie utwierdza; rze skrwawione  
zbrodnia, obmyje w niewinności.

— Forsbergu! reszt lekarz z największą  
spokojnością; najściślejsza przyjaźń ma  
swoje granice, dla tego proszę cię, nie  
chciej je przekraczać.

— Jeszcze raz masz słuszność, odrzest  
radzka, i nie myślę cię więcej rumienić;  
kiedy sam przed sobą się nie rumienisz.  
Tylko - czy istotnieś mocno postanowił  
zaślubić Sydonia?

— Niezawodnie, odpowiedział lekarz

— Zobaczymy, zawołał Forsberg wzru-  
szony, kto zwycięży z nas dwojgu?

To mówiąc szybko wyszedł, a Stern

zostat na śródku pokoju, s orhyłona gło-  
wa i zachmurzonem czołem.

— Wypađł los nakoniec, rzekł pochwili,  
Bóg widzi, ile walki kosztowało mi to  
postanowienie; ale dobrze się stało. Fors-  
berg wie o moim zamiarze, w śróćce  
nikomu już tajnym nie będzie. Ludzie  
pogadają, posmieją się i zapomną, a  
mnie sumienie w głoś wola: dobrześ zro-  
bił!

## II.

*Sydonia siedziata przy otknie, i sypata  
 ziarno swemu Kanarkowi w elegancniej  
 klatce postawionej na szysponierce z ma-  
 honiu, a w okolo roboty kobiece, ksiazki  
 i dzienniki. Poshovszny negliżyk biaty,  
 i zgrabniutki cyppyczek, co niby w ramki*

oprawił kędziory jasnych włosów, jeszcze bardziej podwyższaty tętna, pieśńność młodej osoby, która czasami spoglądała w zwierciadło, i z długiej powieki strzęsata ostatnie ślady zaspiania.

W tém otworzyły się drzwi, a ona postoiła wesole, podając rękę wchodzącemu ojcu. Tajny radca był słusznego wzrostu i silnej budowy, na twarzy malowata się biurowa pedanterya i urzędowa godność. W zmarszczeniu ust widuć było pewną powagę dumy; a w zimnych i rozciągłych rysach twarzy, uknuć wielmożności i wpływu. Na widok pięknej córki rozjaśniły się, przybierając wyraz miłości i stodkiego pobżania. Pocałował ją w czoło i susnął za głowę przytulając do piersi.

— Ach! papo, z minską zawołata Lyda.

nia, wydobywając się z przeszczot ojcow-  
skich - papa mi pomnie moj nowy ce-  
prezek.

- Moje dziecko! rzekł radzca. Jak wze-  
śnie i już wstataś? Dopiero po dzie-  
siole! Kiedyż wiecie z balu wróciły?

- O drugiej, odpowiedziała Sydonia -  
matom tancyta.

- No - to nowy cud! zawołał radzca śmie-  
jąc się; bo zwykle słyszę zawsze przeciw-  
nie.

- Takie nudy, rzekła Sydonia poricwa-  
jąc, danserow mało do mego gustu - Jeden  
Forsberg, można powiedzieć był najlepszym  
ze wszystkich, ale znowu wszystko cisnęło  
się do niego z powinszowaniami. Wziął  
spuszczinę po ciocie, wdowie po generalnym  
dyrektorzce wód i lasów.

- A gdzież mattha? zapytał radzca.

— Mama musi spać jeszcze.

— A zatem Forsberg był twoim kawalerem, rzekł radca z uśmiechem — a Sterna tam nie było?

— Prawił tylko przez kilka godzin, odprowadziła Sydonia, i zaraz go zawołano. Biedny ten Stern — przechodzić tak z biału do łóżka chorego.

W tej chwili poważny radca, odwrócił się ku drzwiom, skądoby weszła starowna potowica. Była to osoba dumna z wyrazem wyniosłości — powitanie mego przyjęła z uśmiechem zdziwienia.

— Ciebie to zdziwicia, że mię tu znajdujesz, rzekł radca; przyszedłem pomówić w sprawach familijnych; dobrze że wszyscy troje razem jesteście. Dopiero wtasnie, nie ma jak kwadrans, odebrałem list od Forsberga. Zgadnij co pisze.

Pani Pinzerowa rzekła z minką.

— Ten metody meżaryzna, to prawdziwie-  
 uspaniate zjawisko; od wczoraj niezmiernie  
 nie zyskał w oczach dobrego towarzystwa.  
 Na balu był nie z mordowanym w grzechno-  
 ściach i atencjach dla mnie i Sydonii.  
 Ten list, może się wiele rzeczy domyślać.

— Coż ty moje dziecko! może radzca, nie prze-  
 czuwasz treści tego listu?

— Zawsze to będzie coś-co mnie nie obchodzi;  
 odpowiedziała rumieniąc się.

— Najsamprzód ciebie, odrzekł radzca z u-  
 śmiechem, a twoich oczu uważam żeś odya-  
 dla co się w nim zawiera. Forsberg, prosi  
 o rękę Sydonii, coż ty na to?

— Ja mówię, odpowiedziała z żywością Sy-  
 donia, że w takim razie powinnyby się  
 być lepiej do mnie pierwszej udać, niż do  
 ciebie, Kochany papo, a potem papawie....

— Taki, taki, wiem dobrze, zawolat radzca, ale Forsberga odezwa naszczetna, korzy-  
stna i swietna.

— Forsberg zostal bogatym-przez snu-  
swojej ciotki, rzekta Pani Pinzerowa.

— Sterna z bogaca, talenta, odrzekta Sy-  
donia; albo jego praktyka nie przy-  
nosi mu przynajmniej ctery tysiac  
talarow.<sup>2</sup>

— Forsbergowie sa bardzo dobrej fa-  
milii, rzekta matka, naginajac ta-  
godnie glosu.

— Jest radzca finansow, dodal ojciec,  
a przytem metody, ujmujacej powierz-  
chownosci, dobry pracownik; a za mo-  
ja protekcja, moze zrobic bardzo swiet-  
na, kariere. (a moje wdanie sie, moze  
mu swietny stworzyc zawod.) Pomysl do-  
brze Sydonio, co za roznica miedzy mat-

żonka Forsberga przeświada, a żona prostego lekarza Sterna.

— Żonę lekarza Sterna! zawołata Tydonia śmiejąc się, jakże to rzadkie, straszne, othropne, nieprawdaż? Ale żonę radcy medycznego Sterna, potem radcy tajnego Sterna i. t. d. i. t. d. to brami inaczey, przyjemniej, O! — to wszystko da się zrobić, nie prawdaż panno?

— Ale ty szalona, moje dziecko, rzekła matka Forsberg jest partią daleko słosowniejszą, prawdziwie — to dla ciebie niestychanie szczęście.

— Ja niczyjego szczęścia nie potrzebuję, odrzekła Tydonia z zapalem, wolał ja raczej komu je sprawić. Sterna Kocham, a Forsberg mi wcale obojętnym. Stern z charakterem poważnym, pewniem zastanowieniem, godnością i prawością, jest prawie, ile go znam, jedynym, którego prawdziwie można nazwać ciotkiem. Od najniższych stopni to

warzystwa, sam się wyriósł, a to właśnie na-  
daje cztowielcowi szlachectwo daleko godniej-  
sze, jak stare zwitki pargaminowe. Praw-  
da, że mu brak tej ukladności wymuszonyj  
i obłudnej, ludzki wielkiego świata, nie jest on  
ani tym grzechnisiem bezczelnym, ani tą  
śmieszna lalka mody i elyżkiety; ale to właśnie  
czyni go milszym i przyjemniejszym w mych  
oczach; prośca tego i powierzechowność za nim.

— Co też pobiera minister, mój ojciec?

— Dwanaście tysięcy talarów, niekt radzca.

— A nie mówitxe papa, kilka dni temu, że  
niektórzy z naszych lekarzy znaczniejzych,  
mają praktykę przeszo . . .

— O! jest kilka, co zbiera przeszo dwadzie-  
ścia do dwadzieścia i pięć tysięcy talarów; od-  
powiedziat radzca z usmiechem pro chwili  
rozmyśle.

— Coż teraz talwiej, mój prapo, czy Forster-  
gowi zostac ministrem, czy Sternowi tej-

nym radcą z dochodem dwudziestu i pięciu tysięcy talarów.<sup>2</sup>

— Patrzcie co to za rachmistrzowska głó-  
wka, zawołał radca z usmiechem i uści-  
kując ją; w istocie, na takie dowody, nie  
ma odpowiedzi. Stern jest lekarzem zna-  
nym, mnie uratował życie, a gdzieś go za-  
lecił, cudów dohazywał. W tych dniach  
zostanie radcą medycynym, dekret już go-  
towy, a potem i radcą tajnym zostać nie  
ornieszka. Jego bliźka nominacja na or-  
dariusza księcia, jest już wyrzekoną, a  
co dochody niezawodnie równają się w kil-  
ku latach przynajmniej z dochodami  
ministra.

— Ołóż on moim mężem będzie; a Fon-  
berga s wszelką ceremonią grochem u-  
wierzyć, wyrzekła s statoscią Sydonia.  
Marna Kochana także szwala, niepraw-

dać? bo wiem że mama pragnie szczęścia  
swojego dziecka.

— Coż robisz, odpowiedziała matka usis-  
kując córkę, która ją z przymleniem  
objęła w ramiona, ale mi się wcale  
nie zdaje, abys ty była szczęśliwą, kocha-  
na Sydonio. Stern jest istotnie bardzo do-  
brym lekarzem, i cnotliwym poezjowym;  
jednakże jego niskie pochodzenie, ma-  
niery, przyzwyczajenia, szorstkość umysłu  
i rozumu, w utózeniu sętywność pedanta,  
a potem ta ogłędność orębita, co go nigdy  
nie opuszcza; wszystko to, mówię, niepo-  
koi mnie i matce nie pomota.

— Temu braku tylko prowadzącej ręki,  
zawołata Sydonia. Proszę więc tylko mnie  
zostawić, a obaczycie jak go przeskłada-  
cie.

— Zapełnione. Nie pierwszy on ani ostatni;

oderwał się ojciec, którego by młoda kobieta nie przeistoczyła. Ależ moja pani, wszak ci się jeszcze nie oświadczył!

— Jego uczucie jestem prawie pewna, potrzeba tylko matego osmielenia z mej strony, a strumieniem popłynę.

— Matka chciała coś jeszcze powiedzieć, gdy stępujący oznajmił przybycie Sterna.

Czarowna twarz Sydonii obrył nagle ognisty rumieniec.

— Proszę mnie sama zostawić, rzekła, przytulając się rodzicom, dotychczas igrałam z jego uczuciem i unikałam oświadczeń, ale, zdaje mi się, że teraz dopiero pora.

Kadzica podał rękę żonie, i przeprowadził uśmiechając się do drugiego pokoju. Sydonia usiadła na jednym końcu sofy, i opuszcila głowę na rękę. Tu wszedł Stern.

— Zastajesz Wspan, słabo, Kochany Dok.

torze, oderwała się z uśmiechem; ból głowy, gorąco, jakiś ostrope wzruszenie  
 ... o jakimś rada że się z W Panem  
 widzę.

— Stabości Pani, to zwyższe skutki umię-  
 czenia na balu, odrzekł Stern głosem  
 lekkiej wymówki.

— Proszę mię nie tajać, nie zastępuj-  
 tam na to, boń bardzo mało tańczyła.

— Ale lekki strój, — mogłaś się Pani  
 zacięć.

Tu wziął za puls i długo badał.

— Trochę febrę, — odniesiesz Pani kase —  
 Dzisiaj — ani na krok s prohoju.

— Będzie postawna, odpowiedziała; ale do  
 stotu pójdę, bo wtaśnie mi to papa dopie-  
 ro co napowiedział. Pan możesz być spokoj-  
 nym, bo nie będzie nikogo, prócz wczoraj-  
 szego mego dansera Forsberga. Wiesz Pan,  
 że on wielki majątek odziedziczył. Ale prawo-

da, to nie nowina dla Pana, bo to jego przy-  
jaciół.

Na te słowa, młody lekarz opuścił reske,  
piętniej pacjentki, i żywa bladość obryła  
mu oblicze. Ale to wzruszenie nie trwało  
jaki chwile, powstał i rzekł spokojnie:  
Forsberg jest to wyborny człowiek, żyję mu  
w wszelkiego szczęścia.

— W towarzystwie bardzo miły, pełen do-  
wcipu i przyjemnego humoru, reszta Sy-  
donia, a do tego jaki danser! proszę to  
dobrze pamiętać, doktorze!

— Ja się spokojną do słabości przyznaję-  
odrzekł Stern — gdyby chodziło o porzyska-  
nie zwycięstwa w tanie, upadłbym niezna-  
wodnie. — Potem także, nie jestem ani ~~nie~~  
wesółym ani dowcipnym, ani zastobli-  
wym, mówił dalej: Opatrzności obdarzy-  
ła mnie, właściwie tylko pewną, czystą  
rozumu potrzebnego człowiekowi prostemu  
i przeciętnemu jako ja.

— Próżno mówiono mi, że Pan wiersze pisujesz, zlekta Tydonia złościła się uśmiechając.

Lekkie rumieniec zapłonit jej oblicze.

— Niema człowieka s cruciem, rzekł. Którego wyobraźnia nie wzniósłaby się z ławami do lotu.' Coż dziwnego, że myśl innym w ten czas przemawia językiem, i jest, jak mówi Lessing, samą tylko tłuwością. Ale w moim charakterze ta poezja jest tylko rozwiaga i objawieniem uczuć wypluwających raczej z wrażeń wewnętrznych, aniżeli z uniesienia duszy.

— Czy nie można tę duszę natchnąć?

— Stopień uniesienia, jakiego jest zdolna, już osiągnęła dzisiaj; odpowiedział Stern; źródłem tego uniesienia, jesteś Pani; jedno jej słowo, a ono wyschnie; lub wzrośnie i wzembierze gwałtownie. —

Lekkie ściśnienie ręki, zdawało się dodawać mu otuchij; spojrzal na nią wzruszony i spotkal wzrost peten stodycy.

— *Możesz się ośmielić, Pani, wyrazić co czuje?* ... Forsberg o jej refleksję prosił — to niebezpieczeństwo czyni mnie odważnym. Wybieraj, Pani, postanow, słowo tylko jedno słowo powiedz! — Wiesz jakem niespokojny — bo przedemną — w szczęściu optywac, lub wiaćnie go się wyzreć.

— *Sternie!* odrzeka, a w tej chwili zabłyśtała w jej oku i spływając po licu rumieńcem spotkała wsmiech, twoje poetyczne narzekanie jest mi dobrej wróżby — upatruję w nim znak nieba, i spodziewam się, że będzie dla mnie szczęścia gwiazdą, która rozjaśni me życie.

— *Ach!* więc nie zawiodłem się? jestem zrozumiany? O! powiedz, Sydonio, Kochasz mnie? *Możeszbyś przemieść ubogiego i prostego lekarza, nad człowieka ze znaczeniem i taką świetną fortuną?*

Bez żadnej odpowiedzi podała mu obiecy

ce, i zachwycone oczy obojga wależyły chwile  
 le tliwym i słodkim wżrekiem; potem  
 głowa dziewczicy opadła na pierś ulubionia,  
 — ich ramiona spleły się w ognistym  
 uścisku, a usta gorącym pocałunkiem  
 spoity, świątły wżet sere. . . .

Tajny radzia prowadząc żonę za sobą,  
 otworzył lekko drzwi, i znalazł ich w tej  
 postawie.

Ten szelest rozbraił dwoje ślechanów,  
 Stern wyjąłszy kilka stów niezrozumia-  
 le, zaglęszył je do reszty śmiech radzy.

— Coż-to, doktorze, zawotał, znajdując  
 Włana w objęciu mojej córki i to pod bo-  
 kiem rodziców? czy i to do recepty nale-  
 ży?

Stern wziął za rękę Sydonię i pod-  
 prowadził przed ojca.

— Potrafiż Włan się oprzeć wymowie  
 takiego obrońcy? rzekł, coż zawiniło me

serce, że się najsamprzód udało do tej, do której ma jedynie należeć.<sup>2</sup>

— Późnie w moje objęcie, Kochane dzieci, zawołał tajny radca; niechaj błogosławieństwo boskie spłynie na głowy wasze!<sup>1</sup> —

W chwili szczęścia miłego, wszystkie uczucia nieludzkie, co się kryją w życiu ludzkim. Nawet matka Lydenii, zapominając o niedawnych sprzeczkach, czule uściwiała zięcia. I tu spłynęły stołnie trzy + trzy, które zbyt szczęścia wyciśka. Potem uhladano plany na przyszłość; urządzano wesele; dalej mówiono o wyprawie, o ~~Wielkim~~ przyszłym gospodarstwie młodej pary, o umieszczeniu jej niedaleko od pomieszczenia rodziców — a sceny tkliwe i wzruszenia się następowały jedna po drugiej.

Narzeczony, znajdując się kilka minut sam na sam z swą przyszłą, rzekł jej uśmiechając się:

— Moje oświadczenie, zastanawia mnie samego — prawdziwie, podziwiam moją odwagę; ale na koniec, następuje to co miało poprzedzić oświadczenie. Potrzeba Tydonio, abys' zupełnie poznała, kim jestem.

Tu opowiadał jej swoje życie i walki z przeznaczeniem; także o Rozalii zamłczał, wspominając jedynie, że długie czas przemieszczał w domu profesora Wöllera, gdzie długiej i ciągłej doznawał przyjemni.

— Wöller, rzekła z uśmiechem Tydonia, ma i córkę ładną, a o niej mnie nie nie wspominał.

— Prawda, rzekł Stern, to bardzo miła

osoba; nieraz ona rozprószyta mi chmury  
na stole. Była moja przyjaciółka, i jest  
nią jeszcze; ale niechęć więcej, chociaż Ly-  
donia, - tak - nigdy ona czem innym dla  
mnie nie była. Terli się prawie codziennie  
bywa w jakim domu, gdzie jest panna  
na wydaniu, nie można uniknąć przy-  
wek ludzi, co się nowinkami bawią; ale  
ja spodziewam się, że mnie uwierzy Ly-  
donia, nieprawdaż?

— Najmocniej i z najzupełniejszą za-  
ufaniem, odpowiedziała Lydonia, Forsber-  
gowi pewniebym nie uwierzyła; ale o tobie  
ani na chwilę nie wątpię, i jestem pewną  
że się omylić nie mogę. Mówisz, że cię  
twoje własne wywyższyły zasługi - wierzę  
mi, to cię milszym czyni mojemu sercu,  
godność twójego charakteru, postój i sta-  
chętności twój duszy, wszystko to, mój

drogi, łączę mię z tobą szczerką i miłości uczuciem, które nie zostawi miejsca nieufności i podejrzenia. Tak - tybys' nie mógł udawać uczucia, którego bys' nie doznał, albo nie dotrzymał danego słowa.

— O nigdy - przysięgam ci, odziedziczyć Stern s powaga. — Ale jeszcze jedno, dobra Tydonio: moi rodzice są to ludzie ułubczy, lecz uczciwi; i wdzięczne serce moje nie mogłoby się nigdy ich zaprzecić. Mój ojciec, prosciwy stolarz w małym miasteczku, i dumny ze swego syna, nie mógłby mi nigdy przebaczyć, gdybym go na wesele nie zaprosił. Wiadomo, że jego wychowanie od naszego dalekie, ale potężniejsi jesteśmy świętym wzrotem natury; a potem to człowiek tak stęskni i tak śród stronnym, że się bez kłopotu

i z największą ochotą wróci do swego  
miasteczka.

Może to nie wypada mówić o nim w  
tej chwili; jednakże chciałbym być pew-  
nym, że moja piękna narzeczona, wyż-  
sza jest nad rękocemne przesady tylu  
ciób, szanownych z resztą, które prze-  
cież nie mogą przezwyciężyć wewnętrz-  
nej próżności i wstydzają się ubogich rodzi-  
ców.

Na te słowa lekko <sup>nie</sup>dygnie ~~przebiegła~~  
sz, Sydonii. Ubogi stolarz a jej teść przy-  
szły przedstawił się jej w całej brzydocie,  
obok matki tak próżnej i dumnej, w  
śród znacznego gi świetnego grona ~~przy-~~  
familii i przyjaciół. I to była pierwsza  
kropka pioturu, co wpadła w czare  
jej szczęścia; ale wysiła ją z odważą,  
i z stoickim uśmiechem spojrziała na  
Mechanika. To miał być jeden dzień tyl-

ko-ten minie—jedne odwiedziły, które potem długi czas nie nastapia. A tak czuła troskliwość syna dla stariego ojca nawet na tonie upojenia miłości; nie powinnaż była jeszcze powiększyć szacunek, którego domawiała dla człowieka swojego wyboru?

— Twój ojciec, odpowiedziała, będzie mi najmielszym gościem, i znajdzie we mnie ten szacunek i miłość, jakiej się po mnie ma prawo spodziewać.

Rodzice panny weszli do salonu. Matka prosiła doktora zostać na obiedzie.

— W Pana stabi, Kochany doktorze, mogą być wrodzici ciepłiwi na dziesiąj, dodała cicho Sydonia, wspierając proźbę matki, uśmiechem; zostaną u nas, przy mnie—marn jeszcze wiele do mówienia z WPanem.

Stern uwaterował czule jej rękę i wciągnął  
Kapelusz.

— Lekarz, rękot, jest tak jak kot -  
nierz -; stanowiska nigdy opuszczać  
nie powinien i walczyć ciągle z najgroź-  
niejszymi nieprzyjaciółmi życia - na-  
wet najmniejszym natchnieniem serca  
ustąpić nie ~~powinien~~ wypada, skoro  
go obowiązki wywła. I teraz opuścić  
cię muszę Sydonio, aby polecić na boj,  
i skoro będę mógł, powrócę, moja droga,  
a w ten czas będę ci już długo słuchał,  
bardzo długo, aż chyba mię samą nie  
odprawisz.

To mówiąc, wyszedł, a matka Sy-  
donii rzekła z szyderstkim uśmiechem:

— Masz próbkę, twojej przyszłości! To  
złotowiec, co ani na chwile nie należy  
wam do siebie, a tem mniej do ciebie.

— Co za ślachetność, co za tegoś

charakteru! zawołata Sydonia, a wokoło  
zajasniało uniesienie; o jakież dum-  
na z niego, i jak stuszenie opiera się  
naszym próżbom!

— Bardzo stuszenie, rzekł tajny radca.  
Gdyby wszyscy lekarze naraz się  
pożeniłi, i każdy zechciał przy zonie  
siedzieć; nie wiem, co by się stało sier-  
piącą ludzkością. Ale, zatoż się, że  
większaby część pozdrowiała; bo więk-  
sza część choruje tylko z powodu lekar-  
tów. —

### III.

Jednego z następných wieczorów, Stern  
zawinięty ptaszkiem, promykał wzdłuż uli-  
cy, dosyć oddalona, od okazałej części stoli-  
cy. Przed jedną z wielkich kamienic zatrzy-  
mał się i spojrział na drugie piętro. W o-  
knach światła nie widać, jednakże otworzył

drzwi z ulicy i poszedł cicho po schodach.  
Na drugim piątrze stanął i słuchał.

W bliźnin potroju usłyszał dźwięk fortepianu. Była-to słodka i rzuwna harmonia przerywana tylko chwilowemi odstępy, niby westchnieniem; była-to fantazja dzika w tęsknym rozdzierzgnięciu bertadzie, w której widziałeś jakby walcę chaosu, myśli przeciwnych i wzruci. W końcu głos zadrział kucznym podwzięciem i umilkł — Stern zdawał się coś postanowić. Potem otworzył drzwi prawą ręką i wszedł do wielkiego potroju. Było ciemno, bo tylko blask z ulicy słabym promieniem przyświecał. Po ścianach złote ramy licznych obrazów jaśniały w półcieniu, a w głębi ścote fortepianu wstawiała zwolna biała i wysmuska postać.

— Kto ta? — zapytała dźwięcznym i harmonij-

nym głosem.

— To ja, Rozalia, odpowiedział przybliżając się Stern.

— Ty, Gustawie, rzekła i drzewi jej głosu zadział mimowolnie radością, zadziwieniem i głęboką tęsknotą. — Jakże się cieszę, że cię znowu oglądam. Usiądź tu, na sofie, na swojem zwyczajnem miejscu — ojciec mój wyszedł, rozmówimy s sobą sam na sam.

— I ja właśnie obratem tej chwili, rzekł Stern, wiedząc że cię samą zastanę. Mam ci coś powiedzieć bez świadków. Może będziesz dać światła?

— Na cóż tu światła, Gustawie, odpowiedziała Rozalia z wymuszona spokojnością.

— Mów, Słucham cię.

— Wiesz? że ja się żenię.

— Mówiono mi o tém, rzekła — s panna Pinzerówna; ale dotąd, nie mogłam temu wierzyć.

— Nie ma wątpliwości, rzekł Stern spokojnie,

— tak jest; tyłko mi przyśro, że mnie Nitos uporo-  
dził w doniesieniu ci tej nowiny. Ctery lat  
mija, Rozalio, jak posiadasz mój, najwyższ-  
szy szacunek. O przeszłości zamkniętą, bo już  
zapmną, zamkniętą, zimną i zapomnianą;  
a odtąd musi dla mnie być objętą; nie po-  
winieniem nawet pytać, czy rajem mi była,  
czy pustynią; jej pamięć nawet muszę  
wytrwać z serca mojego, żeby mię mo-  
gła zgubić. Rozumiesz mię? Rozalio!

— Rozumiem, odrzekła — słusnie mówisz.

— Prawda, ty jesteś silnym, Gustawie, jesteś  
człowiekiem w całym znaczeniu; ale i  
Bóg nie potrafi stłumić pamięć tego, co  
było.

— A ja potrafię — muszę, Rozalio, rzucić  
oziębło; — bo inaczej, nigdy bym nie mógł do-  
pisać mojego celu. — Nam się, potrzeba  
roztaczać, moja przyjaźniość, i być odtąd

obeymi sobie na zawrze. Twój obraz, myśl  
 twoja musi dla mnie zaginąć, i przewsto-  
 ści nie może nic pozostać, nawet ta, smu-  
 tna chwila rozstania. Wahałem się długo  
 między miłością i wyniesieniem, i wynie-  
 sienie się obratem za przewodnika. Wszak  
 pamiętaasz, Roxalio, długie nasze rozmowy,<sup>2</sup>  
 pamiętaasz, jakżeśmy często rozprawiali ra-  
 zem o celu ostatecznym, jakże sobie czo-  
 wiek powinien nakreślić w życiu, i ja-  
 kżeśmy się na to zgodzili: że powinienile  
 możliwości swoje sily rozwijać, wybierać  
 najobszerniejszy zakres dla ujęcia swoich  
 zdolności, i starać się nakoniec, najwyż-  
 szej, stawy dostąpić.

— Tak jest, odpowiedziała Dziewica,  
 — tylko zawrze z honorem, tem najwznoś-  
 lejsem godłem życia.

— O honor nadewszystko, rzekł Stern, — ho-  
 nor jest to jedyna dźwignia, wszelkiej wiel-

Koscie. Wielkość przedemna, Droga Kozalio,  
 potażenie s panna Pinzerówną otwieram  
 mi drogę, na którabyś nigdy inaczey nie  
 trafił. Dzis otrzymałem dekret na posta-  
 de radcy miedzyrnego, i nierawodnie jeszcze  
 wyżej postapię. - Ale ty masz za nadto  
 żywe pojęcie, moja Droga, - nie potrze-  
 buję ci się jeszcze jaśniej tłumaczyć.  
 Gdybys była panią, z wyroczajna; musiał  
 bym zapewne, chcąc cię przekonać, innych  
 używać środków; może wypadłoby mi do  
 tudzenia, się uciec; albo, nie mogąc to na  
 sobie przenieść, własną przyszłość oba-  
 lić dla osuszenia tej rozpaczki. Lecz ja  
 cię lepiej znam, Kozalio, ty masz serce  
 słachetne i duszę wzniosłą. ~~W~~ Dlate-  
 go mówię ci tak otwarcie: potrzeba zerwać  
 węzły co nas łączą, - ja potrzebuję stano-  
 wiska - stopnia w towarzystwie. Możesz  
 to nazwać dumą, próżnością, jak chcesz.

z reszta; ja ci tylko to powiem: że ołowisk  
nie powinien nigdy, zatapiając się w pię-  
knych marzeniach, prawdę odpychać, albo  
poświęcać swe prawa do towarzysstwa, jedy-  
nie uczucia serca. Wiem, Rozalii, że stoba-  
byłbym szczęśliwym, i jako matronek, na  
tonie domowego pożycia, szczęśliwszym mo-  
że, niżli się nim kiedy być spodziewam;  
ale robak bóleści gryzłby mi nieustannie i  
bez miłowierdza w głębi mej duszy. Przyro-  
dzenie zatlito w mej piersi duma, i żądze  
wzniesienia się; towarzysstwo ludzkie wyda-  
je tysiące głupców co się wznoszą, rów-  
nie jak tysiące świetnych talentów, co idą  
w porzuceniu; lecz owi głupcy są mędr-  
cami, bo umieją korzystać z otulianości;  
a owi mędracy głupcami, ponieważ wznie-  
ste uczucia serca własną, splatają ni-  
dzą. Otóż taka, jak widzisz, jest obecnie wa-  
ność mego ducha: zimnej rozważa,

Różalio, poświęcam najprzekradlejsze sny  
mojego życia i najwznioślejsze serca za-  
paty; - bo ja cię kocham Różalio, i już-  
cie cię Kocham.

— Powót, przerwała, przynajmniej  
w tej chwili nie myśl już o skłamstwie,  
możesz się bronić jeżeli chcesz; ale ja ci  
powiadam: Gustawie! tyś mi, nigdy  
nie Kochał - Gustawie! oszukujesz sam  
siebie - to co ty mitosia nazywasz, bytło  
cibie wiecznie przedmiotem rozbioru.

— Nie, odpowiedział, właśnie dopiero, am  
zaczął uczucia mego serca rozbiierać; w  
stugie i ciemne noce jesieni, samotny, i  
pastwa bezsermności żarzących; niby da  
ulgi oddawałem się rachubom rozważa, kłó-  
rej hieroglify, wykształciły się na konie w  
jasne i wyraźne pismo. Gdyż po raz  
pierwszy zastanawiał się nad etropnym  
skutkiem mego namysłu; zimny pot  
oblat mi czoło, oczy nieznaną łez, ronity

obfite, a serce zaużyło stowiem. Ciebie po-  
 trzeba się byto wyrzec na kawosze, a do te-  
 go nie chciałem w sobie doświadczyć; w oddali  
 zaś, widziałem światyria szczęścia naszego  
 w ptomienicach, siebie pastwa marzeń, a  
 ciebie, Rozalio, która chciałem uszczęśliwić,  
 upadająca, pod ciężarem, skropionych boleści.  
 W końcu namysłem się, zawałem ci, już  
 odtąd unikać, przygotowywać, i chciałem  
 że w miarę wzrostu promyślności rozwijają-  
 nej, ubywało roszkasy sercu; że moje pra-  
 wa do towarzystwa stawaty mi się droż-  
 szemi nad miłość, i żeśmy oboje mieszka-  
 stwymi być mogli, gdybym był tak sta-  
 bym i tej sprawy nie zważał. — Rozalio,  
 to moja spowiedź, wierz lub prowatpicwaj!  
 a jeśli myślisz że ja się ~~zawalem~~ tudzież, lub  
 mi wyrzut jaksi gotujesz: natenczas za-  
 pomnij com powiedział, i starajmy się, obo-  
 je być szczęśliwymi. —

— To jest prawdziwy wyraz naszego rozta-

zenia, odrzeka miłym głosem. Rozalia;  
nie, Gustawie, ja ci niemał nie do wy-  
rzucenia. Moje serce nie jest tak stałym,  
a dumy mam za nadto, i niechciałabym  
nigdy wiązać do siebie człowieka, któ-  
rem jedynie za pomocą dojrzałej rozważi-  
przewidział nieszczęście w naszym pota-  
czeniu, i którego przekonanie szanuję.  
Tak tyś mnie kochał, Gustawie, ale ta mi-  
łość była tylko dobrocią; była skłonnością  
serca, w której zimna panowała rozwa-  
ga. Staraj się więc zatrzeć ten obraz.  
Ja wiem, że cię kochałam całą mocą  
mej duszy; o nie była to wrzga na-  
miętność, ale zlanie się najczystszych  
najśladziejszych uczuć. Teraz szau-  
je cię, Gustawie, i ten szacunek zachowam  
na zawsze w mem sercu. Tobie  
się zdaje, że więcej zimnej rozważi jak  
czułości posiadasz, ale ty zrobisz sam  
na sobie przykre doświadczenie. Mia-

takbym jeszcze dążyć do mówienia, lecz to  
 byłoby próżniem, a może obciążałoby jesz-  
 cze bardziej twoje serce. Dla tego, opuść  
 mnie, mój przyjacielu i nie mów nic wię-  
 cej - masz słusność. Postępuj na drodze  
 sławy z honorem, a skoro twoje imię  
 zablysnie obok imion zaszczytnych, w  
 ten czas Różalia zaplaśnie łzami radości,  
 a jej najgorętsze życzenia towarzyszyć  
 ci zawsze będą. A teraz, bywaj zdrow!  
 Idź gdzie cię los, i gdzie cię szczęście  
 wola - Gustawie! bywaj zdrow i szczę-  
 śliwy!...

Płotki potłój i zupełnie podanie się  
 losowi, malowały się w jej słowach;  
 tylko lekkie drżenie głosu zdradzało  
 gwałtowność snujących się wewnątrz.  
 Stern chciał jeszcze coś powiedzieć, ale  
 słowo zamarło na ustach, i pierwszą tyl-  
 ko głębszym odpowiedziata westchnie-  
 niem. Niechętnie uciął jej rękę,

i przycisnąwszy ją sobie do serca, wyszedł z pospicikiem, nie wyrzekłszy ni słowa, nawet ostatniego słowa przeznaczenia.

Gdy drzwi się zamknęły, Rozalia stała nieruchoma. Potem muskając ciekawny wzrok po obu stronach wyniosłego czoła, jeszcze nadstuchiwała jego chodu, a gdy się zgubił w oddali, postąpiła ku oknu, otworzyła je z lekką, i wreszcie jeszcze śledziła poruszającą postać Kochanki, aż ją zupełnie ciemność nocy schłonięta.

Teraz zapaliła świecę, poszła do swojej biblioteczki, opuszczała ręką z zielonego jedwabiu, i wyjęła książkę: Henryk IV. Szekspira. Czytając tę wzniostą i tkliwą scenę, gdzie Katarzyna de Persy opłakuje stratę małżonka; chwilami rzewna tra zaimita dwiema oho dziewczyny, która śmieje się zesta-

bosiu swojej duszy, stobosiu której się chiał  
ta porbyć, nakoniec zaręka w głos  
czytać.

W takim stanie zastał ją ojciec, to  
ptaczka, to czytająca, i skości. Na  
widoł oja powstata, a odebrawszy  
ją z wytkle ptaszek i kapelus; ujęta  
go obiema ramiony, i s taką uscisłka-  
ta serdecznoscia, ze stary profesor z  
zadziwieniem na nią spogladał.

— Ach! moje życie, rzekł, ty mnie  
przyuśkasz do serca sibly swego ko-  
chantha.

— Tak moj ojciec odpowiedziata s  
przymileniem, — ty jesteś moim daw-  
nym kochankiem, najwierniejszym  
i najzubszym, dla tego do śmierci  
zostane twoja narzeczoną.

— Niech ci, Bóg broni moje dzie-  
cie, rzekł starzec — Młoda i gorąca krew

mlodego potrzebuje oblubienca, a stary  
ojciec nie mógłby ci go zastąpić. — Ale,  
ty coś ukrywasz, Kochaneczko, no-no  
nie udawaj, wiem wszystko, i ja mam  
źródła z których czerpie, a małeśki  
mój palec wywróży mi wszystko.

— Ciekawam tyż, czy prawdę wywróżył;  
szekła Rozalia tęsknie się uśmiechając.

— Mówimy szczerze, odrzekł profesor. Zapo-  
thatem radcą finansowego Forstberga, a ten  
mie się pytał, czy u nas Sterna nie było.  
Właśnie został radcą medycznym i ordynari-  
uszem księcia. Prawdziwie — pewne niemiłe  
nowiny wyprawily mi były w xty humor, dla-  
tego ta wieść o Sternie była mi jaskby bal-  
samem z nieba, bo przecież nathonie spet-  
nia się moje najdroższe życzenia. — I tak  
moja konsyliarzowa, dodał radośnie usci-  
skając ciotkę — winieniem ci osiuradzić swo-  
je uszanowanie. — Ale, zart na bok, nie  
było tu radcy medycznego?

— Obył, mój ojciec, odrzekła Rozalia.

— A więc wszystko dobrze i rzecz skonczona, zawołał profesor z radością.

— Tak, skonczona na zawsze, rzekła Rozalia poważnie, bo Stern już nigdy nie zobaczę.

— Jak to, <sup>?</sup> coż to ma znaczyć? <sup>?</sup> zapytał starzec z wzruszeniem.

— Stern się żeni z Parmą Pinzerowną, córką tajnego radcy.

Na te słowa, powstał Profesor z gniewem.

— Jeżeli to prawda, krzyknął gwałtownie, to najniegodzniej z jego strony! Miałoby cię przez całe cztery lat twdzić? Miałoby ci stworzyć najdroższych cztery lat z życia, — cztery lat! niepowrotnych! — miałoby jeszcze wydrzeć mi moje najdroższe nadzieje! <sup>!</sup> <sup>?</sup>... Nie temu nie mogę wierzyć — to nie prawda.

— Nierawodna prawda, mój ojciec, Stern

jest ubogi, a tajny radca jego dobrodziejem.  
Właśnie to opuska tego możnego człowieka dała go poznać światu i te mu tytuły uwyższała; takie tytuły związań, mogą go wynieść do zaszczytów i godności należnych jego zdolnościom. On niemięślniej postąpić, chce sobie stworzyć światły zawód w świecie.

— Podaj mi ptaszka i kapelusze, moje Dziecie, reszta stary profesor sprawiając się do Drzwi.

— Chwilka mój ojciec, zawołała Rozalia, coż chcesz urobić?

— Chciał pomówić z konsyliarzem, reszta rozgniewany starzec — i chciał mu odkryć piękne postępowanie jego przyszłego zięcia.

— O tego nierób mój ojciec, odrzekła spokojnie Rozalia — ja sama nieprzejętam jego ofiary. Właśnie godziny nie ma, tu na tym samym miejscu ofiaro-

wat mi swą rękę. Pragnąc lub odmówić,  
zależało odemnie. — Odmówiłam — azatem  
twojem postępowaniem obcinieć możesz  
mi tylko zaszkodzić, bo Stern jestu-  
pnie niewinnym; ja sama go ni-  
chcę.

Stary profesor spojrział na córkę  
proszpnie i z wyrazem boleści.

— Tak więc zewsząd nieustannie na  
mnie bije, zawodził z głębokim west-  
chnieniem i rzucił się na sofę.

Rozalia przysunęła się ku niemu  
i z boleścią patrzyła na tę szanowaną  
swoją głowę, na której porażonem  
czole głęboki osiadł smutek.

— Co ci tak dolega, mój ojciec!  
zapylata ze stopy.

Starec wyjął z kieszeni papier  
i podał jej w milczeniu.

Gdy ona spojrziała, obawa i zadziwi-

wienie zaintrygowały w jej oczach, które się w krótkim chwiliwym wyprogowdziły spokojem.

— Jesteś uwolnionym od obowiązku, mój ojcie, reszta — ach! martwi mnie, to nie pomatu — przyjdzie nam dwoje sobie wymorować, ale za to będziesz mógł odłąd więcej, użycwać wieczu, bo i tak czasami ~~mi~~ mi jesteś cierpiącym. Uwolnienie twoje jest honorowe, a to co ci zostało wystarczy na potrzeby. Ja także coś umiém, a teraz wstawie para u tego korzystać. Będę użyla rysować, maluje także nie bez talentu, jakhes' mi to sam powiedział mój ojcie — przytém posiadam muzykę i kilka jazykownaratem spokojnie oczekuję przyszłości, która mi się wcale nie wydaje tak straszna.

— O! lepiej byto, nie odmawiać Sternowi;

zawołał stary profesor — tyś go hochala Rozalio, i niewiem, co cię do tego postanowienia zagnęło? Masz już lat dwadziścia i trzy, ma je dziecko! Dla mnie starca przyszłość ni jest strasna — mnie już tylko kilka kroków do grobu; ale ty, Rozalio, sama jedna, bez majątku, bez przyszłości, bez przytulku w tak ogromnym świecie — o to! to mię uciska i grębi.

— Ja niejestem tak opuszczona, jak ci się zdaje, moji ojciec, tkliwie odpowiedziała Rozalia — światu mi nie potrzeba. W oświechowej tusce potrafię żyć i być szczęśliwą. Tylko nie nalegaj na mnie więcej, abym ci wyjawiała powód mojego postanowienia; wybór mego do mnie należy. Sternowi musiałam odmówić, bo tenie moje wewnętrzne przekonanie; onby był nierównie ze mną, niższymi. A tak niuch on idzie swoją drogą, a my swoją.

Moja miłość będzie ci ja prostować, a ty  
 będziesz moim przyjacielem, moim kiej-  
 notem, moim najdroższym skarbem.  
 Wszak ja nie mam nikogo, mój ojciec  
 poróci cię, tak - cię jednego - a ty  
 nie odepchniesz swej córki.

W jej głosie brato wzruszenie; sta-  
 ry ojciec przyjął ją, silnie do serca,  
 i rosił złego trawni heban jej złych  
 włosów. - Kilka chwil upłynęło, nim do-  
 kądź potrafiła ojcu oświadczyć sta po-  
 tego swej woli i ta siła, jak nani wy-  
 wierata; je jej, związki ze Sternem by-  
 ty na zawsze zerwane.

- Na co sobie głowę skłopotai tem,  
 co nie należy do naszej przyszłości,  
 szcika - Stern zawsze mi drogim będzie,  
 i z dumą siostry ustępuje, gdy zabrzmi  
 istawa jego imienia. Nasze serca Dzie-  
 li ocean niemierny, i żaden statek nie

uniósłby się przez jego niestronczone fa-  
 Tu spokojnie zaczęła wyliczać odmia-  
 ny, mające nastąpić w matym ich go-  
 spodarstwie, którego potrzeba było potrój-  
 uszerzbek. Tej rady i plany pełne były  
 wdzięku, a stary profesor trafił dosko-  
 nale w jej myśl nie wspomnienia  
 więcej o niewdzięczniku, którego zupeł-  
 nie ustawała wspomnieć. Ona zdawała  
 się rozgrzewać uczuciami przyszłości,  
 malowała sobie takowa, w tysiącu dro-  
 bnych uciech, a szczęście mające wy-  
 niknąć z jej pracowitości i staran' go-  
 spodarskich i takiem opiewała rozwe-  
 seleniem; że przeciw <sup>profesor</sup> zupełnie uwie-  
 rzył, jakoby jego oddalenie od obowią-  
 ku było plan' istotnie szczęśliwym wy-  
 padkiem, a wyborne serce jego dziwicia

było mu szarbcem daleko droższym, ni-  
zeli dary wszystkich Akademij na  
świecie.

Rozalia przyrzędnita wszystko do  
skromnego posithu na wieczor, gdzie  
w zakątku spiżarni wyprużata osta-  
tnia butelka wina, a gdy nalewata  
szlanki, ojciec z radozieniem na nią  
spoglądał.

— Moje dzieci, rzecze do niej — ty po-  
dajesz wino, gdy nam się brami poić  
wypada? Ładaj się, jak gdybyś chciała  
tych kilka chwil przemienić na dzień  
uroczyści, chociażby więcej ucie-  
pieli oboje jak w czasie całego roku.

— Napijmy się na pamiątkę, mój  
ojciec, córka — po szczęściu następuje  
niezłoty i przeciwnie, wszystko na  
świecie zmienne. Ja mam duszę wiel-  
ką i czuje, że jestem słachetna, szlachetna,

boleść w mem sercu gasnie, i czałem tyf-  
 ko na obliczu przesłiśnie, wgtowie zaje-  
 knie niby spiew tęsknoty. W mej piens-  
 tli sła boska, praruje pchoj, w ciernie-  
 niu uczuwam szczęście - wyzywam przy-  
 słaść s calem jej, porzeczaniem -  
 pagnę<sup>2</sup> żyć s calem, duma, dusy nieugie-  
 tej, i silnej. Ten dzien' byl szczęściem  
 dla mnie mój ojciec; on mi przyniósł  
 błogostawieństwo; dziś głębiej sięgnęłam  
 wrokiem do serca - lepiej poznałam  
 siebie, i cuję ziemi podobna do owych  
 dębów rozrostłych, których burza nie  
 ugnie, a wywróci tylnie brzęnienie zie-  
 mi lub potop, przed którym nie osta-  
 tyby, sie same bogi.

Dwieci jej głosu, którym dorawia-  
 ta tych słów, wygrywało natchnienie.

Stary profesor ostygiat, a nierozumie-  
jąc ja z lekka zakotywał głowę i  
usmiechnął się z wyrazem niewiary.

— Nie jesteście to rycie nędzinie, mówiła  
dalej Rozalia — troszczać się nicustan-  
nie o jutro? Niech przyjdzie, i naspicie  
nas gotowymi. Mój Boże, co nam mo-  
że ten nędziny łow zrobić, przed którym  
tak drża ludzie? Najwięcej może nas  
rzucić do chaty wieśniaczej, a zamiast  
potraw sokrystych, podać czarny chleb  
nędzy! a zatem, ~~to~~ tylko upokorzenie  
pychki i wzrzeserbesz zotadha sieje po-  
strach na największą część ludzi. Ale  
czyż nie mamy rąk i rozumu do  
zwaloczenia tego nieprzyjaciela!?

— A jeżeli choroba nas złoży? zapytał  
śliczka profesor.

— Kto mężnie walczy, straszyć się nie powinien; serce porzezwiązane o sławę nosi, nadaje sily oporu. Zwyciężyć siebie samego, to prawdziwa godność człowieka; kto tego dopetrnit, świat zewnętrzny, przypadkiem go nie zastraszy, przypadek ugnie się pod silą naszej woli. A więc cieszmy się ojcie, dzisiaj obchodzimy święto nadziei — obaczysz ile nam szczęścia i bogactwa przybędzie.

Stary ojcie uradowany serdecznie ją uścisnął.

— No — moje dziecko, ten co ciebie posiada, nie może być ubogim lub nieszczęśliwym — ach! dopiero czuj sprawiedliwość twójego powołania; tak, w spotkaniu tylko dopełnianiu swego przeznaczenia znajduje się szczęście, które jedynie od naszej woli zawisło.

Długo jeszcze tak rozmawiali - na-  
 koniec Rozalia ucałowała jego o-  
 rękę, odeszła do swego po-  
 kojku, a ojciec udał się także na  
 spoczynek.

Nagie gałęzie drzew ogrodowych  
 szeleszciały po chnach, szum nocny i lek-  
 kich powiewów szmerzał śliczą oho-  
 to samotnego mieszkania. Niebo by-  
 ło jasne i zimne, blade światło ksi-  
 życy przezroczystą falą przelewało  
 się po murawie, a cienie murów i  
 drzew ścielity się na niej w czarnych  
 i wydatnych rysach.

Rozalia zgasła lampę, aby nie  
 miewać tej gry magicznej i tajem-  
 niczej światła, w miłym promie-  
 niem lato spokoń w zburzone jej  
 serce. Sama usiadła w cieniu na łóż-  
 ku, nogi spoczęły na tych światła rysach, a ona

marząca, puszczona myśl za upłynieniem  
 rzeźb, przebiegająca porzyskie nadzieje,  
 iadze i swoje, mitose, wywotywnata w  
 cieniu rjawniska i obraxy, co jan blysk  
 przemknęty w jej, Duszy, i długo sci-  
 gata je westchnieniem, txami i usmie-  
 chem teshnoty, aż znova w szare ci-  
 nia noc, zapadły. Tymczasem ziemia  
 i księżyc toczyły swe kregi, i w krótce  
 ta gwiazda now, opromienita cata po-  
 stac' Rozalii - Wstata, jan gdyby chciała  
 otrzasnac te napływające ją blaski,  
 zwierciadło na przeciwno, je porbie-  
 rato, i oddato w drzącym odblasku  
 jej obraz blady i teshny, a wzniosły w  
 swojej teshnocie.

Tu wznosząc ręce ku niebu, które  
 istrzyty gwiazdami, zawołata: - O!

naturę wieczną, dodaj mi siły, podnieś  
Ducha, uspokój serce - mów, mów  
do mnie, niech ustąpię, drwił świę-  
tej twojej mowy. Powiedz mi, jaka  
nagroda tak wielkich boleści?

Ledwie wymówiła te słowa, i po-  
bliższej wieży uderzyła dwómasta. Ro-  
zalia w biedzie, cała oblana światłem, któ-  
re choć ośmiu tylko skazanych obfita-  
ła, lenkiem szarzeję cieniem, postępo-  
wała ku toż, jaśniejąca, jak anioł,  
co spórniomy pospiesza ku niebu. W  
tej chwili chmura zasunęła księżyc,  
białe światło zagasto, a ona z gło-  
bkiem westchnieniem padła znów na  
toż.

— Nagroda cłowieka spoczywa w  
nim samym, wyrzekła, wicha, a przy-  
szłość grobem i zapomnieniem tylko.

obdarsza upadły ten ród. A więc nabierz  
 odwagi serce moje, uzbroj się protegą,  
 swojej wyższości - ciesz się, że czujesz  
 więcej i głębiej jak chce porzeczanie,  
 żyj wiecznością, myśli, tej myśli du-  
 mnej i wzniostej, co przechodzi z wie-  
 ków do wieka, co szuka wiedzy i  
 prawdy, a znajduje, niestety! tyl-  
 ko wątpliwość i wieczne milczenie.  
 O jakże słabym jest człowiek! chce  
 być silnym i spokojnym na tym  
 świecie, musi koniecznie słuchać dru-  
 giego. O jakże słaba ja sama,  
 jakże słaba i nikczemna; modląc  
 nagrody, za rany serca, trami kale-  
 wać muszę, ogień wzburzonej krwi!

Tu ody Koralii lunety stumieniem  
 gorących łez. Chciata go zatamować  
 i zacisnąć z gwałtownością konwulsyj.

na obiemna rękoma rozigrane rękodo,  
 ale w krotce ręce opadły, wyłus nad-  
 ha, jeszcze tła, czasami zastemrzał;  
 tylko dusza dręta w uciśku waiłki  
 między rozumem a sercem, aż nako-  
 nic serce porumogło: obropne wraze-  
 nia rozety weni' bic' setniej, a szze-  
 scie rozwiane w samej nadziei wy-  
 warto ostatni najgwaltowniejsty cios.  
 Padła pod sita, boleści.

Dopiero po niejakiem czasie upo-  
 koita się, i otarta ostatnia, tła, i po-  
 wiłki. Wsiłyc' ułhawy piłtkności w  
 cierpieniu, jeszcze raz zajrzał promie-  
 niem do jej sypialni, i tyłko uśmiek  
 nadziei blyszczacy testnota, powstrzeżł  
 na jej obliku.

— O'cha, być tak mileraca jarkty,  
 wyzrehta - i jarkty zimna, najezar-

niejsza chmura, nigdy mi, na zaw-  
sze nie racini; a teraz dosyc' jiz  
stary i tez, w milozeniu dopet-  
niać poroznaczenia umiemy. -

#### IV.

Zarczynny modycznego radcy z tad-  
na, Sydonia Pinxerowna, odbyty si  
z uroczystoscia, i juz dzien wesela si  
zblizal. Nie jeden zadrosit mu szere-  
scia i dziwit si, jak mogl radca  
tajny a przetyem znacznej familii, corth,

jedynaczkę wyjąć za człowieka stanu mię-  
skiego, i bez majątku, którego przysięgi  
dość niepewna, a największa nadzieja w  
opiece teścia.

Na dwa dni przed ślubem przybyła  
siostra pani Pinckerowej - wdowa proste-  
resie już nie młoda z wykwintnym  
utożeniem i wymuszona, godnością, ce-  
cha szlacheckiego herbu. Łkanie o na-  
rzekonym, sama w sobie już, mało  
schlebająca jej dumie, stało tylko spry-  
jato lekarzowi, którego proste utożenie,  
zimna i powatna grzeźność miała dla  
niej coś gminnego, odrażającego, i nieraz  
już była przedmiotem jej uszekypliw-  
ego dowcipu.

Stern w ostatnich dniach prawie  
ciągle bawił przy swojej narzekonej. Pa-  
lexąc niejako już do rodziny, niezapowia-  
dając się przychodził co Sydonii, często

nawet bez wiedzy rodziców. Miewał z nią zaw-  
 sze tyle do mówienia, o urządzeniu domu, o  
 wielkiem pomieszkaniu, co najął w pobli-  
 żu i już przyzobcił, o stuwących a nabo-  
 niec o przyszłych nadziejach. Często przycho-  
 dził nawet do jej pokoju, lub oczekiwał ją  
 tam, jeżeli wyszła. Sydonia uszczęśliwiona  
 miała także wiele do powiedzenia - pomys-  
 łów mnóstwo - różne rozporządzenia, spra-  
 wunki i tysiące dobroci, których wymaga za-  
 prowadzenie nowego gospodarstwa; wszystko  
 to ubrane marzeniem miłości, przyjemnie  
 kotywało jej duszę. Sterna cieszyła te miłe  
 gwarzenia pięknej i młodej dziewczyny, która  
 go tak pochochata; a potem ona tak ładnie  
 rozprawiata o wszystkim, takim wdzia-  
 kiem malowata przyszłości, a gdy oholik-  
 nowi jąka przypomniała jej, że wkrótce  
 zostanie żoną, tak zalotnie umiała ubrywać

zarumieniona, przestętna, twardyjsze na  
piersi ulubienca. W podobnych chwilkach  
rozjaśniało się powaźne czoło lekarza,  
który nowej doznawał roztęskoty, idąc za w-  
rokiem tych stódkich chwilk, kładących się  
zawsze wzajemnie przyrzeczeniem więz-  
nej miłości i nadzieją niewymownego  
szczęścia na przyszłość.

W dzień przybycia przesyłowej trafiło  
się właśnie, że Stern oczekiwiał Sydonii  
w jej pokoju z niecierpliwością kochan-  
ka; nakoniec usłyszał jej głos w przedpo-  
koju, i perwawszy się skoro, stanął za  
Drzwiami, chcąc ją niespodzianie zachwy-  
cić. Już nawet wyciągnął ramię i na-  
głe znów opuścił. Sydonia nie była sa-  
mą. Przy jej stódkim i harmonijnym głosie  
usłyszał suchy i śnapliwy matki, a przez  
tego Krzyżliwą i piszącą, Peresowę.

Byłoby je chętnie obie za morze wystat.  
z niecierpliwością; jednakże musiał przy-  
stuchiwac się ich rozmowie, i ciągle się  
obawiać aby go nie odkryto.

Po kilku obojętnych naradach i kłopotach  
o wydatkach, przeczesa drwiciącem zapy-  
tata głosem: — A propoz' a gdzie-to  
czuły obłubiniec? Czy i wieczorem chodzi  
do chorych.

— On zapewne będzie już w moim  
pokoju, odpowiedziata z uśmiechem Sy-  
donia.

Stern wstąpił się cicho pod ptaszek  
na drzewach wiszący; Sydonia otworzyła  
pokój, zagładnęła i powoli odchyłając gło-  
we, rzekła, — jeszcze go niema.

— To ty go w swoim pokoju słuchasz?  
zawotata przeczesa.

— A jużż, odpowiedziata Sydonia ura-  
żona; — alboż to grzechem?

— Przynajmniej jest to wykroczeniem przeciw przyzwoćności, odrzeka matka chcąc udobruchać siostrę; znając dobrze stosliwość jej języka, i odrazę do nowego siostrenica.

Przesocwa przestała się śpieszyć pro pokój i rzekła z gniewem:

— Ja się wstrzymać nie mogę, muszę mówić; Sydonia jest moja siostrennicą, ty siostrona siostra, Cety ten mariaż jest przeciw konwenansom, prawdziwie, ja niepojmuję waszego zawstępienia. Córka mojej siostry ma zaślubić doktora, którego jest synem uboższego rzemieślnika! a fi! — to rzecz nie stykana. O znam ja te nowe zasady — prawda, czasami potrzeba się resignować, bo już na nieszczęście do tego przyszło, że szlachta nie bardzo szanują, nawet mało kto na szlachectwo zważa. Prawda że teraz zapomina się nierówność urodzenia, byle tylko majątek i godność a przynajmniej majątek pro-

siadać. Gdybyście byli choć taku wybrać zro-  
bili, niemiatabym nic przeciwko niemu; ale  
wybrać człowieka, co się ničem nic odzna-  
cza, człowieka bez imienia, bez fortuny, a  
nawet wcale nie pięknego, aby jeszcze pokrę-  
to ten nierozsądki; którego z reszta los tył-  
ko wygiagnął de l'abjection et de la misère — co  
tego, to za mało; c'est affreux et ridicule en même  
temps.

— Te tłumaczenia już są za późno, odruch-  
ta konwyliarzowa z lekkim westchnieniem,  
— i zdaje mi się, że .....

— Powinnście byli rozsądniej sobie po-  
stąpić, przerwała przerosowa — ale i teraz  
jeszcze czas. Muszę pomówić serio stwo-  
im mężem.

— Nic wiele z nim poradziła, smutnie  
odpowiedziata P. Pinnerowa. — Wszak to on-  
uroit sobie to małżeństwo. A potem, sama  
zwała moja siostra, że się już trudno cof-  
nąć — nie — nawet nie podobna.

— Obawiając się, żeby to nie zrobiło ektat, rzekła przeserosa, ale wolicie to znieść, jak później zatowar; Sydonia pojmaje to także. ....

— Dostkonale, Kochana ciotku, odpowiedziałam wrzucym ze wzruszenia głosem; — milczalam słuchając aż do końca, a teraz proszę pozwolić mi mówić. Ja za Sterna pojde, bo go Kocham, satej duszy — i pewne niekryja Duma nie zmieni mojego zdania. Mam pozwolenie rodziców, a więcej mi nie potrzeba. Nikomu nic do tego, w czym sobie kto szczęście zakłada! Ładuje mi się, że mię Kochana ciotka rozumie, bo już nie jestem dzieckiem i wiem co robie. Byłabym bardzo wdzięczna Kochanej ciotki, gdyby się nie wdawała w tak świętą rzecz, jak moje zamęście.

To mówiąc pędem odeszła i mocno trzasnęła drzwiami.

— Sydonio! zawołata Konsyliarzowa —  
co za niegrzeczność!

— Powiedz raczej bezczelność, z gniewem  
zawołata prokuratorowa. Moja siostrze, niechaj  
tu więcej robić zgorzelenia, chociaż i tak  
stulejbyś tu nie bawiła. Wszystko słon-  
czono między rana a ta filozofia de ringt  
ans — ach tyś to temu winna, ty, i twoja  
przeklęta edukacja.

Konsyliarzowa nudaramnie starała się  
uspokoić rozgniewaną prokuratorową, która ob-  
szypywała siostrę wyrzutkami, aż się  
nathonice obie w rozgniewaniu rozeszły.

Stern wychylił się z swojej kryjów-  
ki i ze spuszczonej głową niby winowaj-  
ca przebiegł cicho prokoje. Chocąc narzecie  
coś postanowić, starał jeszcze w przedpo-  
koju; w tym gniewie i smutku wrócić  
między farnilia — niepodobna, więc bez dal-  
szego namysłu powrócił do siebie.

To co słyszał, goryczą napętniło mu serce. Dumne ubóstwo wzgardą doptaca pychę bogatym, a ich nabożność zbija wzniostem uniesieniem ducha. Człowiek walczący przeciwko niesprawiedliwości towarzystwa, a, w głębszym uczuciu własnej godności, nie mogący przexwyżyć przeszłość; ratruwa swe serce gorzką nienawiscią ku ludziom, skoro niema tylu filozofii, aby to śmiechem przyjmował.

Stern w czasie swej poniewieści i opuszczenia, często doświadczyl siły slachetnej dumy; z wielką ofiarą wstąpił na szczebel tashi, bo zasługi zdawał mu się zbyt poziomym. Tuż marzył o szczęściu, aż tu naraż, postrzegł, że wszelkie jego usiłowania nigdy nie potrafią zniszczyć żadnego przesądu. Ta myśl przeszyła mu serce jakby kolcem cierniowym, którem najgłębiej utkwit. W tej chwili. Żal gro-

żno powstawał w duszy i jasnym miernem  
 weni godził. W oczach stanął obraz Rozalii,  
 a obok niej Sydonii wzmierzająca się pro-  
 stać. Jeszcze zdawało mu się, słyszeć ten  
 zagniewany <sup>jej</sup> głos, te wyrazy gorzkiej iro-  
 nii, któremi bronita swa, młodość; i ten  
 odgłos brzośka z jaskiem zamknięta drzwi,  
 chcąc niby, nadać więcej mocy słowu.  
 Rozalia, bronita by się podobnie? ... z  
 westchnieniem tylko wymówił jej imię,  
 i obiema rękoma zastonił sobie twarz. ...  
 Ale Sydonia Kochata go; przygotowa-  
 nia już pokryciono; cofnąć się już nie-  
 podobna; a więc dumnie wzniósł głowę,  
 a w oczach błysnął zapal silnej woli.

— Zawstydzę tę pychę, rekt. — Miałbyś  
 bym radzić przed nią? nigdy! Co mi  
 obchodzi gniew starej baby; Sydonia jest  
 moja; a więc do mnie należy zbic' tę na-  
 dętość, a wozelki gniew upokorzyć.

Tu wstąpił jakiś szelst, i zabrzmiął  
głos dzwonka. Po chwili zadzwoniono  
znowu, a nikogo ze służby nie widac.  
Hern sam wziął świecę, oświetlał drzwi,  
którymi wszedł szybko jakiś człowiek po-  
deszty.

— Mój ojciec, zawołał Hern, obejmu-  
jąc go ramionami — porzuć cię znowu  
wódcę.

— Ojciec jestem, Gustawie, rzecht śmiejąc  
się — a nie zamychaj tam mój synu, bo  
jeszcze ktoś na dworze.

Leżąc wychylił się naprzód, a wtem  
dwoje ramion objęło go za szyję, catus  
zawisł na ustach, a drżący głos powta-  
rzył: Gustawie!

— Matko! zawołał Hern, moja dro-  
ga matko! jakie niestychana sprawa  
wiesz mi radość!

Piedna kobieta sptakata. Gene

pracierzynstkie bito dumnie w usciach.  
 takiego syna. Na widok swego wstacha-  
 nego Dziurcia tak była zachwycona, że  
 go ciągle z nowem uniesieniem suska-  
 ta - a do wyrażenia uczuć słów jej za-  
 brakło.

- Moja stara nie chciała sama w do-  
 mu zostać, rzekł ojciec z rozrzewaniem  
 - i ożi jesteśmy oboje u ciebie, mój  
 Kochany synu; ale nie będziemy ci się  
 długo naprzykrzać, i skoro pro weselu,  
 wrócimy do siebie.

- Spodziewam się, że tu zabawicie jak  
 najdłużej, rzekł Stern.

Pozwidy stary, zaczął się rozpatry-  
 wać w pokojach bogato przybranych i  
 zapiotywał głową.

- Nie, nie, zawotał uśmiechając się,  
 to nie dla nas, a my nie dla was. Na-  
 bym się tu nigdy nie nauczył śmiało chodzić.

Dobry w ciebie syn, Gustawie, że rozweselasz  
na starość dni twoich rodziców. Stwojej  
tastki, mamy tyle Bogu dzięk, żebyśmy  
wcale nie potrzebowali pracować. Ale to  
być nie może, ja jeszcze dość orenstwy, po  
trafię robić hyblern; a twoja matka, nie  
wiem, czyby przyszlata, aby kto inny ku-  
dnit się gospodarstwem, a nie ona? a  
tu co byśmy robili, bez zatrudnienia przy-  
szłoby nam zginąć z nudoty. W domu  
znajdzie człowiek zawsze coś zrobić. Stolarz  
taki sobie dobry jak ktoś. A nie onie  
to ludziom piewosze i ostatnie mieszka-  
nie buduje. Ot tak zostaw starego ojca  
na jego miejscu, i tak będziesz nasza  
powiecha; a stara jak raznie opowiadać  
o twojem państwie i z jak wielką ty  
się Pania ożerit, to wszystko kumy  
jęby protwieraja.

Ostatnie słowa ojca wydały się Sko-  
 nowi gromem, co rozdarł rąstom, uciąć  
 synowskich, i odwrót przed nimi dale-  
 ki widok nie mity, bo zaciągnięty chmu-  
 ra. Zastubić wielką Panią! Potęczy się  
 i familia szlachecka! Na te myśł za-  
 drat. Ci ludzie od kolebki napawani pra-  
 sędami o stopniach i przywilejach to-  
 warzystwa, wzrosli już w nieuawisie  
 dla klasy, pracującej; do której przecież  
 należeli jego rodzice. Chociaż to ludzie  
 dobrzy, słuchetni z sercem na stoni;  
 ale rawsze tylko mieszkanie z matego  
 miasteczka. Wzredły między światne gro-  
 no gości weselnych, co innego mógł  
 wzbudzić ich prostactki strój, ich mo-  
 wa, niewyskrwienie, obyrazje; jeżeli nie  
 śmiech, grube rarty, szperstkie uwagi,

a w duszy dumnej cokolwiek, gorycz i wstyd! Wszystko to żywo dotykało Herma, jego urucia staby, i podczas gdy rodzice opowiadali mu długie dzieje swego miasteczka; długo i szeroko wspominali o dwunych przyjaciółach i znajomościach; opisywali najmniejsze wydarzenia swego cichego życia: on starał walczyć sam z sobą, ~~rozważać~~ ~~pono~~ przemyślując, jakim sposobem tych pozwojnych prostactwów w tak dostojne grono wprowadzić!...

Nawyżnienie wygwiera wytytu, nawet na najzimniejszym sercu. Z jakąż to dumą byłby ubogi lekarz Herma, zaślubiając Rozalia, swoich pozwojnych starzyh na pierwszym miejscu posadzić; a radca medyczny wśród świetnego grona nowej familii, <sup>być</sup> musiał z nim

cem wstępu na tim, myśleć tylko o sy-  
 derstkich spojrzeniach prorysowej, i roz-  
 praszać Amury niechci, obiadające  
 czoło nawet samej Sydonii; wreszcie  
 obejrzawszy badawczym okiem strój i  
 utożenie rodziców, niema granowata  
 go rozprawk. Wolałby, aby byli nieprzy-  
 szli, przynajmniej nie ta rara - a z dru-  
 giej strony wstydził się, znowu wy-  
 pierać najświętszych uczuć miłości  
 synowstwiej. Pycha toczyła mu serce;  
 nadaremnie starał się podbić ją du-  
 ma sity moralnej. Cielowisk puszcio-  
 sły się raz faterywa, droga, traci  
 prawdziwe swoje sumienie, i zwat-  
 piwszy sam o sobie, przemysłliwa  
 rażej nad nowem omamieniem  
 siebie, jak nad powrotem do pier-

wrotnego usposobienia, które odzyskać,  
zdaje mu się być niepodobna.

Na konie postarowit. Zmienić  
rzecz caka, już było za późno, ale po-  
niważ rodzice dopiero w dniu wesel-  
nym mieli się pokazać na pokojach  
tajnego radcy, można było tymca-  
sem przybrać ich miodnie, aby przy-  
najmniej powierzchowność nie uderza-  
ła nikogo. Izto tytko o to, aby można  
usunąć ich opór w tym względzie, bo  
stary stolarz nie mógłby nigdy patrzeć  
spokojnie, że się nim własny syn wsty-  
dzi.

Do tego kółka rary postrzegł już,  
pomiezaray i budawcy wzrost syna  
któremu szekt na konie.

— Mnie się zdaje, Gustawie, że ty  
dajesz nam prawie co się podoba, a  
sam co innego myślisz.

— Ja utawnie o was myślę, Kochani rodzice, odrzekł lekarz, jakby tu was najlepiej i najswobodniej umieścić.

— Tak tu miejsca dosyć, odrzekł stary z uśmiechem; masz tu przynajmniej z półtuzina pokojów nierazjetych, a dla nas pierwszy lepszy będzie dogodny.

— Jabyś dla was chętnie najpiękniejszy odstąpił, ~~ale~~ rzekł Stern okazyjąc na pozor wielką staranność, a w duszy czerwieniał się za kłamstwo; tylko że tu jutro okropny będzie niedostatek: nowi nastaną studzy, sporzęty się będą ustawiać tapicery, stolarze i Big wie sto, cały dom granuje.

— Tem lepiej, zawołał stary z uśmiechem, — będzie mógł im pomagać. —

— A'łoby nie wypadło dla mego ojca, rzekł Stern.

— Prawda, masz stusność, drzecht stary,  
ale gozicz nas podziejesz?

— Tu nie daleko jest piethny potioj do  
najecia, tak-ze będzicie blischo mnie.  
Jutro sobie wyprochnicie; ja was odwie-  
dze z moja naraczona, a jezli wann  
bratnie ubrania na weselę, ja promy-  
sle, o wszystkoim.

— O! nie, mój synu, drzecht stary,  
— wstawie twoja matka, przywiorta  
z soba najpiethnijsza subnica, ote  
cos jej dat zesitego roku - i ja tanke  
przywiortem swoja subnase, nie-  
dzielna, o! jezere dobra, nie stara,  
i ani jednej plamy, niema.

— A! w dzien mojego wesela, mu-  
sicie na czele waszego syna, od stop  
do glow na nowo sie przybrać, zawo-  
tat lekarz z stodyra; bo zwarzicie sami

jakbyscie się wydawali wśród tak świe-  
tego grona w waszym terazniejszym  
ubiorze.

— Prawda, prawda, reszt poruczy  
stary, marszuc brwi, otóż to, ja my-  
slatam sobie: Tak to będzie pięknie,  
gdy ludzie obacza ojca w takim  
ubiorze obok swego syna i powiedzą:  
Patrzcie, to ojciec tej młodej, i bogatej  
pary, — i oni się nie wstydzą jego si-  
wych włosów, ani starej matki, ani  
jej sukni w świątę.

— O! Kochany ojcie, jakie można  
tak moje słowa tłamać?

— E! bajny temu pokój moji dziecię,  
odrzuć starzec z stopy, ty znasz świat  
lepiej jak my, i pewne się tu nie my-  
lisz. My zrobimy co skazesz, najmniej  
już nam ten pokój, i przyszły smutek;  
już iż, nie chciałbyśmy ci wstępu narobić.

Stern różnemi sposobami usiłował  
 wyrzucić z głowy ojcu te myśli; mówił  
 z zapalem i do przyzwyczajenia, o ludz-  
 kich przesądach, i o swojem dla ro-  
 dziców przywiązaniu. Matka najam-  
 przed przyczyniała mu słusność, ojciec  
 poddał się także i znów powrócił  
 do pokój i wesołość. Mówiono jeszcze  
 o przyszłości, robiono plany, i ten  
 czas przeszedł. Stern odprowadził swo-  
 ich przeciwnych starych, do nowego po-  
 mieszczenia które najeto na przedzie i  
 znajdował się sam na koniec. Leci-  
 wiec i ~~poświęceniem~~ zatwożonem  
 sercem zaczął z wolna przewracać w  
 księżde przyszłości - aż go sen opa-  
 nował. -

---

## V.

Rozalia postępowata odważnie przed-  
 sięwziętą Droga. Postanowiła zacząć nowy  
 bieg życia, w którym pomysłata z nie-  
 zmordowaną wytrwałością i nieustanną wo-  
 la. Cena pomniejszenia dotychczasowego  
 ich, zaczęła przewyższać ich dochody; dla-  
 tego opuścili je bez wahania i przenieśli

się do nowego, stosowniejszego dla nich, które jeden z przyjaciół wyszukał, prostarawszy się wyprzed o czynszownika na dawne ich miejsce. Forstberg odwiedzał ich często w towarzystwie Sterna, z którym był ciągle w przyjacielni, i miał sposobność dowiedzieć się od Rozalii, o przychylnie ich oszczędności i zerwaniu ze Sternem. Rozalia gromiadała mu to ostatnie zimno, spokojnie, z taką pewnością i z takim parowaniem nad sobą, że Forstberg zwątpił na reszcie, czy ona kochata kiedy jego przyjaciela.

Dawał jej często do zrozumienia co <sup>w tej mierze</sup> myślał, ale ona odpowiadała z uśmiechem: — Dobrze, że się tak stało.

Wierzaj mi Pan, Stern poszedł za popędem serca, zrobił co był powinien, a

ja jestem mu bardzo wdzięczna, że sobie tak uciąwie, otwarcie ze mną postąpił, bo gdyby tylko jessek fałszywe punkty honoru oddał mi był, swojej rękę niezawodnie byłibyśmy bardzo nieszczęśliwymi oboje. A tak, niech go Bóg ma w swojej opiece! Prawdziwie on zasługuje być szczęśliwym; on wart aby go cały świat uznał i zaszczycał.

Forsberg oglądał na nią z zadziwieniem; nie pojmował takiego rozważenia i s taka rezygnacja, która też natchnęła go uczuciem głębokiego szacunku dla Rozalii. Jej postać była wtedy spokojna i uśmiechająca się, a w ciemnym oku błyszczał śluzetny zapłot. Forsberg, widząc ją taką, ułotował jej rękę i rzekł: — Pani ma

stusznosc, Stern nie zastuguje na ten szarab, ktorego sie porzyt tak lekomyślnie.

— Mylisz sie Pan, odrzekta z żywością; rozważał on długo, i postąpił sobie jako człowiek z mocnym przekonaniem, że inaczej być nie może; a przekonanie jakichkolwiek zawsze potrzeba stanowić.

Forsberg uśmiechnął się tylko na ten ślachtetny zapach jej serca, i jeszcze mocniej uwierzył, że miłość Rozalii dla Sterna ostygła, gdy jej tak mało kosztowało zaniechać człowieka, którego tak namiętnie kochata. Uważając chwilę wydatne kształty Dziewicy, jej ślachtetne rysy i duże ciemne oko pełne ognia; postrzegł, że Róża-

lia, mniej piękna, ~~jak~~ jak Tydonia,  
 ujmowata powabem daleko exarow-  
 niejszym - powabem zachwycającego  
 wdzięku, tego pastka Wenery, bez  
 którego piękność w krótkie obojętnie-  
 je. Tydonia była to światowa da-  
 ma, młoda, pełna niespodzianych  
 i uderzających zarcińków; rozpuste dzie-  
 lno salonów, przebiegłe i z pewnością  
 igrające lekkim językiem wielkiego  
 świata; stygnęła z uszrypliwości i  
 dowcipu, umiejąc o wszystkim za-  
 bawnie chociaż złośliwie rozprawiać.  
 Rozalia miała głęboki i oświecony u-  
 myśl; w sercu jej stowio była myśl,  
 tryskająca z bogatego i ognistego serca.  
 Było to zespolenie rozumu i exultacji,  
 które się objawiało nawet w rzeczach

najobojętrzejszych. Ona żyła w świecie idealnym marzeń i wyobraźni; ale tym marzeniem wystarcznie się nie oddawała, nie tworzyła się niemi; przeciwnie tak umiała przyszybać wnie rzeczywistość, że się w jej oczach piękniejsza i pełna wdzięku stawała.

Początek Forsberg jak go coraz silniej porывała ta wspaniałość i godność, ta pogoda Duszy, tej drzewnej dziewicy. Póki Stern zajmował jej serce, nie zazdrościł mu nigdy, tej miłości, która wydawała się świetna, ale coraz zimną, jak lód. Teraz dopiero postrzegł; że pod tą śnieżną powłoką, kwitła rozkosznie wiosna; tlał zapal Duszy i serca; wrzała gorąca krew, które nawet żelazna woła z wielką hamowaną trudnością;

Przychodzi i przychodzi bez ustan-  
 ku, a każda razą tylko w nim po-  
 dziwienie rości. Cudosi dziewicy i ta  
 delikatna troskliwość o starego ojca,  
 wzruszają go do głębi. Stary profes-  
 sor bywał często ponury i dziwaczny,  
 jak zwykle artyści, którzy przyszedł-  
 szy do pewnego wieku ratują lat  
 upytanych i narzekają na nie-  
 wdzięczność ludzi. Rozalia umiała do-  
 stojnie rozpraszac' posępne te chmu-  
 ry, co mu osiadały na czole; i w mia-  
 re, jak powracały, ona wygadza-  
 ła swój humor, wywołująca tysiące  
 powabnych marzeń, usuwając tym  
 sposobem najmniejszą przysłuch myśl  
 ojca. Dopiero gdy umysł utraconego

starca uspokoił się nieco; rysy dzie-  
wicy rozpadły w poważną zadumę,  
i drgały czasami gwałtowniejszym usito-  
waniem, choć ~~stwierdził~~ <sup>uściwił</sup> te bólesie co w  
niej wrzata.

Torsberg nie wahał się jej przery-  
wać. Wzrost dziewczyny malował ra-  
zem proźbę i rozrach, i zdawał się  
go ostrzegać, aby nie tykał pitocho świę-  
tej boleści: Dla tego wolał raczej rozry-  
wać ją opowiadaniem nowinek codzien-  
nych, pomieszanym tysiącem zabaw-  
nych wypadków. Opowiadał dostro-  
nale i potrafił uspokajać tym sposo-  
bem słuchającą go Rozalia. Rozmo-  
wa przybierała wolną obrót szerszej-  
szy, i z poziomu pogadanek codziennych  
wznosiła się do wyższego stanowiska.

Ona pokazywała mu swoje próby,  
 swoje robotki sztuki; profesor je  
 ganił, Forsberg chwalił; mówiono  
 o sztuce i umiejętności; dobywano  
 książki z biblioteczki; wybierano mi-  
 strzowskie dzieła poctów, które Ro-  
 zalia słodkim i natchnionym głosem  
 czytała. Wszystko <sup>to</sup> sprawiło zamianę  
 myśli, i żywe robilo wrażenie na  
 intodym umyśle mężczyzny. Użut, że  
 towarzystwo tej dziewczyny wznosiło go  
 coraz bardziej; życie jaśniało mu obłąd  
 słachetnym zapalem, i żywo zajmować  
 się zaczął <sup>2</sup> nawet <sup>1</sup> tem, co dawniej bopy-  
 chał lub w śmiech obracał.

Wdano mu się także nowe dla  
 nich wyszukac' pomieszkanie o bardzo

mierniej cenie. Był to maly domek; szcze-  
 gólnie podobat się Rozalii; oddzielony od in-  
 nych budynków leżał u wniejsia do ogro-  
 du i tylko od nich miał być zamieszka-  
 nym. Pokoje nowo przyozdobione oświet-  
 lłowy, liść winogrodu ciągnącego się wzdłuż  
 facyaty; a wiatr tęsknie skumiał proga-  
 trzich starych lip, i wiezow zasadzonych  
 spodem, w otugie rzędy, siwawe i fanta-  
 styczne. Rozalia zapomniała, że zbliżają-  
 ca się zima miała być otuga, smutną  
 i samotną w tem miejscu; myślała  
 tylko o wiosnie mającej, umać ogród  
 zielenią i kwiatem; a strona tęskna  
 jej, serca znajdowała dla siebie dobro-  
 czynną karmę w sprzeżności para-  
 jącej, międy wnętrzem tak spokojnem,  
 tak miernem tych, siwizych i samotnych

komnat i między tą powłoką posępna,  
co przystania przyrode, s koncem jesie-  
ni i zapowiada coraz wyraźniej zbliżanie  
się zimy.

Rozalia nie wiedziała o tem, że Fors-  
berg był w przyjaźni z właścicielem ich  
pomieszkania. Nie wiedziała także, że  
Forsberg wyrobił u swego przyjaciela i  
zniesienie ceny czynszu i zostawienie  
nowym czynszownikom niektórych przy-  
tów i rozmaitych przyborów czyniących  
bardzo przyjemnem to pomieszkanie.

Slachetna Duma Rozalii nie przyjęłaby  
była wprost żadnych przysług, chociaż ta-  
kowe Forsbergowi przyjętego majątku,  
wcale nie były trudne; on miał cienie  
równie delikatne jak jego przyjaciółka,  
i pojął od razu, że podobniem postępowa-

niem zerwałby na zawsze stosunek mający, Olani tyle wziętku.

Jednakże czynił co mógł, ale zawsze z największą ostrożnością. Wiedząc nie raz, że tyle niewinnych uciek, co się przykrywały do szczęścia młodej Dżiwicy w jej samotności, on był tajemnym powodem; doznawał czystej i niewymownej rozkoszy. Stary profesor lubował w pięknych kolorach Nitku Kobierców rozdzielonych dla ozdoby w pokojach, gdzie je właściciel rozstawił z grzeszności, równie jak wyborny fortepian dla Rozalii z prośbą używania go; gdyż, jak mówił, nie miał go gdzie umieścić.

Nowe to mieszkanie przybrano w krótkie jeszcze powabniej i z wyszukaną prostotą. Najmniejsze miejsce było

tam tak wygodne, tak dobrze przyrządzo-  
 ne; wszędzie panował wódzisk tak dobro-  
 czynny i tak mity spokój, że Forsberg,  
 zachwycony, nie mógł się wstrzymać od  
 pochwał dla dobrego smaku Rozalii,  
 panującego w całym urządzeniu. Ro-  
 zalia uśmiechała się tylko, wzięta go za  
 rękę i zaprowadziła przed nowe swoje  
 dzieło, piękny niewielki obraz olejny do-  
 pierco ułożony. Wystawiał tenże sam  
 dom z wielkim ogrodem; w nim kilka  
 małych ciemnoczerwonych, i promieniste  
 astry na pochylonych toczkach, rozsiane  
 pomiędzy drzewa i obnażone krzewy.  
 Zachodzące słońce ostatnim blaskiem promie-  
 niem na bladym i zimnym niebie je-  
 sieni; oświetlało dwie młode osoby sto-  
 jących przed drzwiami domu i trzyma-

jących się za ręce. Za nimi starzec z  
 włosym postrębranym, w zadumie  
 wzniosł oczy ku niebu za gwiazdą na  
 dziś, co z wolna i samotnie wstawata  
 z cienia nocy. W jednej z dwójki posta-  
 ci z Tatwosią rozexnat Forsberg swój  
 obraz, a w drugiej obraz młodej mistrzy-  
 ni; na ten widok żywa radość pełna  
 upojenia zabłysła mu w oku. Przypo-  
 mniał sobie że to on zniwołił ją do roz-  
 wijania tego pięknego talentu odradza-  
 jąc jej, dawać lekcje muzyki, co mu  
 się przykreń i niernościem zdawa-  
 ło. Pomysłny skutek sprzedażi mniej-  
 szych obrazów jej ręki, które on por-  
 kupował przez innych; zagłuszył kry-  
 tykę i opór starego profesora. On się u-  
 stawicznie i z zaciętością córce sprze-

ciwiat, chciał ją koniecznie odwrócić od tego powrotania, mówiąc, że ludzie są najniewdużniejsi dla sztuki i jej mistrzów - a czego <sup>on</sup> sam jest najlepszym przykładem.

Torsberg przez zapomnienie powhycił z żywością rękę Rozalii i przycisnął ją z drżeniem do serca, rzekł:

- Ten obraz musi być moim, ~~on~~ jakby przeznaczony dla mnie - szkoda puścić go w cudze ręce.

- Właśnie przeznaczam go dla Pana, odrzekła z uśmiechem Rozalia. Tak, mój przyjacielu, jeżeli kiedyś po długich latach pomysłisz o chwilach upłynionych, które dla mnie zostaną zawsze drogiemi, to malowidło, spodziewam się, może mi przypomnieć Rozalię.

Torsberg chciał coś odpowiedzieć, mo-

że nawet wyrzec słowo stanowcze, blysz-  
czące już w mokreńm oku, drzące na  
otwartych ustach; lecz naraz spuścił  
wzrok tęskny i tylko ręką po czole po-  
sunął.

Rozalia uwarając to wzięła go za  
rękę i wyszli do ogrodu. Wieczór zachod-  
ził jasno i błękitno, siejąc po niebie  
gwiazdy, których iskierzący blask młotem  
i tagońm światłem umilał ciszę  
ogrodu.

— Pan czegoś zmartwiony, rzekła  
s cicha, zdaje się jakbyś coś chciał u-  
krywać przedemną.

— Nic, wcale, zarezam Pani.

— Może ja i wiem o tem, odrzekła.  
Nagle Pana miłozenie przyjmują. Jego  
ślachetna dusza, czuje, jak zabotała  
dla mnie, chociaż, ja sama żadnej  
nie doznaję boleści. Dzisiaj dzień ślu-

bu Sterna, wiem o tem. Moxe wtaśnie,  
 gdy my tutaj samotni, gdy moja re-  
 ka w twojej; siedzi za świetnym sto-  
 lem, albo tuli w objęciu rokoszna,  
 kibic Sydonii i spiya stodyek i po-  
 cationków jej ust. Tak - zdaje mi się  
 nawet, że słyszę ich szeptańca miłos-  
 ne - te gwiazdy zdają się je powtarzać!  
 Ale jam spokojna, mój przyjacielu,  
 mój puls mocniej nie bije, w sercu cisza,  
 głęboka cisza, spokój z Bogiem z ludźmi  
 i z sobą samą.

Podobna rezygnacja i cisza jakby gro-  
 bowa - czy to prawdziwy pokój duszy?  
 Zapisał Forsberg. Możnaż bezkarnie po-  
 zbyć się słabości natury ludzkiej, nade-  
 wszystko słabości tak mitej w obrażo-  
 nej niewieście? Wolałbym, Rozalio,  
 widzieć cię ptaczącą tak długo, aż by się

nie wysilita namiętność i z tona tego  
wysilenia nowa nie zabłysła nadzieja.

— Nie rozumiesz mię, mój przyja-  
cielu, odpowiedziała, — i ja cierpię, i  
moje serce szuka we tkaich pociechi,  
a zmocnione nowej nabiera otuchy.  
Tęsknota uspokajają mnie, pocieszają  
i świeża przy nadzieja — są one dla  
mnie strumieniem, co leje nową i  
dziwną siłę do serca. Cisza, której ja  
używam, nie jest to cisza grobowa, ona  
spoczywa wyżej i wylatuje poza nie-  
biosa, gwiazdy i samą przyszłość. —  
A teraz, czy mię rozumiesz?

— Podziwiam, odrzekł półgłosem.

— Dość zimne słowo, odrzekła Rosa-  
lia. — Słuchaj mój przyjacielu: Dwa  
są światy; w jednym panuje miłość  
lub nienawiść według tego jak nami

kieruje gorąca krew i namiętność, w  
 którym przypadku stajemy się pastwą  
 wszystkich dziwactw losu. Drugi świat  
 dopiero się nam w ten czas otwiera, gdy-  
 śmy stoczyli dzielną walkę z samymi  
 sobą, a serce natchnięte wielkiem i głę-  
 bokiern uczuciem pojednania się sko-  
 niecznością przeczackenia panującego  
 ludzkości. Tego Nole i mnie zranity,  
 i niechybnie jeszcze nie jedna boleść mię-  
 czełka, równie jak roztłość niejedna.  
 Nie wstaxam się na cierpienia, bo  
 to los ogólny, ogólne przyznaczenie nas  
 wszystkich. Jestem wyjsza nad to, co  
 mię dotyka, bo wiem że mija jak  
 czas, którego my dziećmi. Żyję na-  
 dzieja, żyję wiara, i w sobie szukam  
 ochrony przeciw słabości, naszemu grzechowi

pierworodnemu.

— Rozalio! czy Kochataś ty Sterna?  
zapuścił Forsberg, z pewnym odrazem  
obawy.

— O! — czerkita i głos jej zadrział, — Ko-  
chataś namierzone, Kochataś ile tyl-  
ko może Kochać me serce!...

— A toż uwuicie, Rozalio, co ty stabo-  
ścią nazywasz — nie dotykaj cię onob-  
leśnie w tej uroczystej chwili?

W milczeniu podnięta zwolna ocy-  
kła niebu; potem rzucając wzrokiem  
niewymownej tęsknoty na młodego mi-  
czyna, rzekła podając mu rękę:

— Dobranoc, mój przyjacielu, już  
późno, a ja mam jeszcze dużo do wy-  
nienienia.

Odeszła śpiesznie, a Forsberg, roz-  
ogniony i jakby nieprzytomny stugo jeszcze

Stat na t<sup>o</sup>m samym miejscu. W krótkie  
zabrzmiał mity odgłos muzyki. Były  
to nieśmiertelne, szarujące skargi Betho-  
wena, najsłodszy wyraz duszy, która  
się gubi w wątpliwościach i bólesci, a  
mucując ziemską powłokę, promieniście,  
wzlatuje ku niebu! ... Dwie potęgi  
walczyły w sercu młodego mężczyzny:  
gwałtowny pociąg ku tej pięknej, dwo-  
nej istocie, i tajemna obawa jej siły  
nadnaturalnej.

Tak zagłębiony w siebie, w kilka  
chwil obaczył profesora, którego przecho-  
dził kółko niego i niepostrzeżony go,  
wszedł do domu. Dzwieki fortepianu  
ucięły; Forsberg wrócił do siebie, gwał-  
townie połączony w radumie. Długo jeszcze w  
noc czuwał. —

## VI.

Wesele Sterna między. Używał w całej  
obfitości szersza w posiadaniu tak pięknej  
i kochającej kobiety. Jego rodzice nie narobi-  
li mu wiele kłopotu, nawet mniej jak się  
spodziewał. Stary Stern postępował sobie  
z wielką roztropnością; ni on, ni jego pow-  
ciwa potowica wielkiego nie zrobili wrażenia;

tylko młoda para była widce niespokojną i potajemnie bardzo utyskiwata. Na starych spoglądano ciekawie, a kilka stów <sup>mi</sup> kłócić się odważyli odzwac, wzburzito usmiech niebardzo przyjazny. Do tego jeszcze poszeptowano tu i owdzie, taki że doktorowi zdawato się ciągle słyszeć jakies' złostliwe uwagi o rodzicach. Rumienit się ustawicznie ze wstygu i gniewu; aprzeież nie miał tyle odwagi, uxić publicznie swoich rodziców przystojną i stachetną otwartością.

Sydonia ~~wtedy~~ dzień przed tem, wiele ofiarowywata dobroci, i z usilnością odpiczata tłumaczenia narzezonego. Zapewniata go, że estowiek proxiwy, chociaż w stroju prostackim, ma więcej znaczenia w jej oczach, jak wszystkie postrojone głupszy. Rodzice męża miaty być zawsze drogiemi jej powinowatymi, których każdy szanowac' powinien. Dział jednaki w posród swietnego

grona, zupełnie była pomieszana. Skoro tylko przesiadła wzięła rozmowę ze starszym Sternem, a ten z prostotą naiwną opowiadał jej pozął o swoim sposobie życia, o swoich zatrudnieniach, wyzajach; Sydonia, spotykając jeszcze co chwila sztyderski wzrost starej ciotki, ognistym spłonęła rumieńcem. Dopiero z koncem uixty ustal ten niepokój, a pierwsze dni sprtywające w upojeniu szersia nadzieińskiego, nie mogły zostawić miejsca nikczemnym lub przykrzym uczuciom.

Sydonia była dla rodziców męża z wielką delikotnością, jednakże z pewnym odzieniem wyniosłości. W jej oku można było łatwo postrzeć niepokój, coraz bardziej się wymagający; skoro poachwycił tych ludzi zastaty jakie odwiedziny, albo gdy się znajdowali na zabawach wieczor-

nych, dawanych różnemi czasy między fa-  
milią.

Ze Sternem rzek, się miała inaczej.  
Tydonia uważała bytność rodziców mę-  
żowstkich podczas wesela jako złe ko-  
nieczne. Było w tem nieco uczucia śla-  
chetnego, ale może i cokolwiek ukrytej, próż-  
ności, przez którą mniemata okazać się  
wyższą, nad nikczemne przesady; chociaż  
jej wychowanie również jak wrażenia  
namiętne, którym dawała się, powodo-  
wać, w krótkie pierwsze jej postanowie-  
nia zachwiały i powoli zniszczyły. Sto-  
sunek taki bliski s tymi ubogimi i pro-  
sterni ludzmi, stawał się coraz nieznoś-  
niejszym dla niej i codziem jej obrazę  
powiększał.

Stern przeciwnie, chociaż rostargnio-  
ny s początku i fałszywem rriotarym uczu-

ciem; zaraz przy kilku sposobnościach postrzegł, że wiele bardzo szanownych osób podziwiałoby jego szczerość, z jaką odważnie wyplacał się rodzinom z najświeższych względem, niż obowiązków, i z dumą pozbywał się próżności tu wcale niestosownej. W obszernym u siebie pomieszkaniu, przyznaczył rodzinom pokój, bardzo porządny; sam był dla nich najskłiwszym synem i wyłanym w każdej okoliczności; usilnie i przychilnością, coraz większą<sup>się</sup> starał, aby wszyscy za jego przykładem mieli ich w poszanowaniu, nie postrzegając bynajmniej, ile to kosztowało Sydonii, pomagać mu w okazywaniu rodzinom miłości synowskiej; aż nakoniec we dwa tygodni jednego poranku, gdy oboje

zabawiali się w najczulszej poufalsości; przyszło do otwartego tlomaczenia się w tym względzie. Rozmawiając drugi czas o zabawach zimowych, o towarzystwach, strojach, pożyciu domowem i o tyśiącznych rzeczach, Tydonia zapytata nagle męża, kiedy mają odjechać rodzice.

— Czyż ty chcesz, moje serce, żeby odjechali? odrzekł lekarz z uśmiechem.

— Ja — nie — ale — zdaje mi się, rzekta wpadając w ton pieszczotliwy,

— Na przyszły tydzień unas bal, i pewnie zapotrzebujemy wszystkich protektoŕów.

A potem, mówiąc szczerze, Gustawie, ty sam pojmuješ, że twoi protektoŕi rodzice nie są do naszych towarzystw<sup>oni</sup>; do naszego sposobu życia nieprzyzwyczajeni; nie-

zawodnie tętnią za swoim.

To oświadczenie ukryto na Sternie  
Bolesne wrażenie.

— A więc dla balu będę musiał  
rodziców naglić do odjazdu!

— Wszak, czy prędzej, czy później, to  
zawse musi nastąpić. Za tego nie  
wymagam; ależ-swiat - oholiznośi  
... Twój rodzice są wyborni, ależ...  
moją Kochany, Gustawie, ty mię rozu-  
miesz, nieprawdaż? Wszak to nie podo-  
biciństwo, ażeby ukształcony umysł do  
ich się pojęcia stosował.

— A gdyby moi rodzice zechcieli tu  
na zawse pozostać? zapytał Stern.

Sydonia szczerwieniata.

— Spodziewam się, odrzekła z żywo-  
ścią, że ty jasno pojmujesz, iż to być  
nie może.

— Tak jest, pojmuję jasno, że się gmylił, odrzekł Stern z goryczą; ale dopóki moi rodzice u mnie zechcą zabawić, ten dom do nich należy.

— Kiedy tak, odrzekła Sydonia powstając z gniewem — to się jeszcze nie raz omylisz. Bo nie ostryjniejszego potug mnie, jak podać się na posmieństwo.

Jak chciała odchodzić, gdy drzwi na pół odchyłone w bocznym pokoju otworzyły się i nagle stary Stern wszedł.

— Proszę moja synowo, zostan chwilkę. Przychodzę ci oznajmić, że nam czas, i musimy powracać do siebie; moja stara już się wybiera. Dla tego pożegnajmy się przedko, bo tam na przedmieściu furą nas czeka i ma zaraz odjechać.

Sydonia stanęła jak wryta, przed  
poczuwonym staruszkiem, którego twar-  
dą swą ręką ujął jej delikatną i  
białą, a drugą podał synowi.

— Moje dzieci, niechaj nigdy stane  
na wasz gniew nie zachodzi — a ty mój  
synu, natychmiast uściśnij żonę.

— Chcesz mnie ukarać, ojciec, za  
to coś słyszał dopiero, zawołata Sydo-  
nia zmieszana i ze spuszczeniem oczu  
ma.

— Ja nie nie słyszałem, odrzekł  
stary uśmiewając ją wprost — wiem tyl-  
ko, że moja synowa ma wspaniałe  
i wyborne serce.

Sydonia rzuciła się w objęcia męża  
i nastąpiło ciche choć nieme pogodzenie.

Po odjeździe rodziców Sterna, był  
bal, świetne ucztę szybko następowaty

jedne po drugich, i tak przeszedła pier-  
 sza chmura na widokrege matczyński.  
 Sydonia swoją piśtnością, zupełnie  
 meża podbita; ustępowat najdziwacz-  
 niejzym częstokroć jej rządzaniom i  
 prozborom; ale zawrze z bolesném uty-  
 skiwaniem w duszy. Prosty i skrom-  
 ny z urodzenia; wychowaniem i do-  
 świadczaniem przybranych kolej losu,  
 przyzwyczajony do rozsądnej oszczędno-  
 ści, z wielu względów, nie mógł być  
 przyjacielem wielkich towarzystw.  
 Lekkość tych zabaw mało zgwałzała  
 się s powagą jego charakteru; utrze-  
 niu jego umyśtu byto wcale nie do-  
 byszczenia w towarzystwie; dla tego  
 też uważał za ułbienie godności dok-  
 torstkiej, starać się o przymioty cztowienia

światowego lub modnego. Praktyka coraz  
 wkrasająca zatrudniony, bez ustanku  
 od rana do wieczora; pozostałe chwile  
 odpooczynku wolalby, był przeje-  
 dzie w miłym i spokojnym zaciszu  
 domowym, przy boru utrockanej mat-  
 żonki, w gronie szczerych i dobra-  
 nych przyjaciół; ale wyobrażenia  
 Sydonii były zupełnie przeciwne i  
 Stern wdział się być amuszonym  
 jej zadanom przyzwalać. Bo i ja-  
 kiemże prawem, osobę młoda, pię-  
 kna i chciwa, zabaw, która wszyst-  
 kie jej skłonności pociągaty do u-  
 ciech towarzyskich; mógł zniewolić do  
 bawienia się z nim samym i do ushy-  
 lania się od zaproszin. Czut on to do-  
 brze, że Sydonii wypadato nagrodzić  
 cate dni spędzone w samotności, pod-

czas gdy on oddalony żył swojemu powołaniu,  
 i tak nie tylko dzień, miesiąc, ale lata  
 i całe życie miał przebyć. Przysro mu  
 było nie widzieć w niej skłonności do  
 życia domowego; lecz i w tem ją tlu-  
 maczył. Sydonia wychowana w roztoscy,  
 i w prośód zabaw sztykowanych; rozryw-  
 ki i zaspokojenie wszelkiego zachcenia, u-  
 ważala za najpierwszy warunek szczę-  
 ścia. I niewolic ją do zaniechania spo-  
 sobu życia, którego dobrowolnie nie  
 myślala zrobić ofiary; bytoby z jego  
 strony okrutności. Jedna tylko rzecz  
 martwila go nie pomalu, t.j. że sama  
 nie wiedziata co robita. U niej byto wca-  
 le naturalniem to co mu niejedną tajną  
 sprawiata zgryzotę; nawet nieraz go po-  
 tajjata, jeżeli czasami spojnit się zamo-

wadzić ją na zabawę; lub gdy go docho-  
rego wezwano w chwili tak dla niej  
ważnej. Byłoby jej daleko przyjemniej,  
gdyby mąż w podobnym zdarzeniu, dla  
wieczi żony, zaniedbał był swoje pro-  
winność; ale doktor był nie wzruszo-  
ny w tym względzie i po jednem zaj-  
ściu na prawdę oświadczył jej, dość  
dobitnie, że dalej nie chce słuchać po-  
dobnych wymówek — prócz Sydonia  
nie śmiała się już więcej napomy-  
szyć.

Druga przyrzyna tajemnej niechę-  
ci, były wielkie wydatki, jakie wy-  
magata wystawność ich domu i biz-  
ne zabawy; prócz tego metoda kobieta  
lubita sztyt, chiac również i przepy-  
chem stroju jak blaskiem dowcipu

wzbudzić zazdrość i podziwienie. W domu rodzicielskim nawysita była bogactwem, i nie pozbyta się tej ządzy, pojęcia się roszkosza, próżności, która jest wszystkich zyczeń ogniskiem tyłu kobiet.

To właśnie gubiło i tajnego radcę, jej ojca, nie licząc już roszkowne zycie które lubił. Pomimo wysokich dochodów zaciągnął on jeszcze znaczne długie, tak, że Sydonia nie miała nawet odpowiedniego posagu, co by mógł być pokryć koszt jej strojów. Dochody Kerna były wprawdzie nie małe, ale postrzegał co raz więcej, chociaż z obawą w duszy, że nie wystarczały na wszystkie wydatki. Ciemne chmury szły mu czło, gdy przyszedło obierać jeden po drugim rachunki.

Sydonii, po największej części za rzeczy zbyt-  
 kowane, które jako niepotrzebne marnotraw-  
 stwo nie mógł żadną miarą pochwalać.

Alle te chimery, na czele rozjaśnitym  
 krótkie próżby, i pocatunki Sydonii. Ho-  
 chat on to dziecie ładne, obłeśne, co sta-  
 kim wdziękiem i naiwnością śmiałto się  
 z jego lekkich wyznówek, a na wzmiar-  
 kę wysokiej ceny jakiego stroiku, opo-  
 wiadało s takim zadowoleniem, ile to  
 on przydał ~~prze~~ piękności, ile wykrył-  
 ników zardrosi wywołal.

Stern lizył jeszcze na porę, która  
 miała ukazać żonie pod inną postacią  
 życie. Z wielką niecierpliwością oczekiwał  
 końca zimy. W ten czas mnóstwo miało  
 powstawać zabaw, jak te nienawidzone  
 wieczory; a nade wszystko bale, którym  
 Sydonia, piękna i zapalona tancer-  
 nica, oddawała się s taką rozkoszą i uniesie-

niem. Ale zima minęła i znowu imie nastąpiły rozrywki. Powiały doktor lubiący nadzwyczajnie porządki, niezmiernie się zdziwił, widząc, że żona tak mało dba o gospodarstwo wewnętrzne. Do tego dołożył jeszcze niektóre oszukiwania Stug, czy nit jej za nie wyrzuty, a ona odpowiadała w przytych wyrazach, oświadczając bez ogródek mężowi, że nie myśli ubiegać się za stawa, dobrej gospodyni. Z gorzka, wystawiał jej Stern, co to za nierozum roztrwaniac życie na zabawę i tańce, a z lekkomyślności istotne robic powołanie.

Po taki żywawej utarce, oddał się radca medyczny, a Sydonia poszła sptem szukać pocieszenia i opieki u rodziców, gdzie właśnie była przesiewa na ten czas. Tajny radca zachmurzył czoto i

mówił ogólnie o szybieniu obojga; ale matka z żywością uscisnęła Sydonia, ściskając winę na grubianstwo męża. — Bo i jakże matka w podobnych okolicznościach nie przyzna „słusność” córce?...

— A widział, ma chère, rzekła przesowa, gdybyś była wstuchata mojej radcy, byłabyś teraz szczęśliwą za Forstlergem. Ten Stern, co nie zna wcale pięknych manierów, co niema ani edukaції ani habitu de monde, musiał cię niieszczęśliwą uczynić. Onby był s ciebie kontent, gdybyś sama była kucharką, albo ze siostrą i miotelną w ręku biegata po prokrajach, a w wieczór siadła przy nim robić ponizochy, i do północy słuchata jego historyj o chorych.

Sydonia, jakkolwiek zmartwiona,

musiała zaśmiać się na ten obraz dzi-  
ważny, poczem rzekła z wstęchnie-  
niem:

— Chociaż jeszcze nie przyszło do  
tego, ale tu wiele jest prawdy. Żona le-  
karza jest prawdziwie pożałowania go-  
dna. Stern, jak cały dzień, u chorych;  
gdy wróci, jest zmęczonym i w złym  
humorze. Widzę ja, z jaką niechęcią on  
wstępuje moim żądaniom; onby wolął  
wypoczywać w swojej kancelaryi i pa-  
lić fajkę, której mu nie pozwalałam w  
moich pokojach; czytać — ~~nie~~  
trawic' czas na pogadanie ze mną i  
s kilku nudnymi przyjaciółmi; — to lubi;  
ale pojs' gdzie między towarzystwo; a  
to, nudne — ptaszkie — nieznośne! I ja-  
kież moja przyszłość? Kochana mamó!  
Mamże tak swą młodość poświęcić?

Ach! teraz dopiero widzę, jakem nieroz-  
 sądnie zrobiła. Stern taki śniący, zatu-  
 je mi wszystkiego, rachuje najniższy  
 wydatek. Jego wychowanie, dawniejszy  
 niedostatek, przyzwyczaiły go do pojedyn-  
 czości we wszystkim, czego ja nie na-  
 widzę. Zdaje mi się nawet, jakby mi chciał  
 przekonać, że, dla zdrowia potrzeba jeść  
 najprostsze i najgrubsze potrawy, przestać  
 na jednym półmisku, i cały rok nie od-  
 mienić sukni.

Właśnie gdy to mówiła, wszedł Stern.  
 Na widok spróżnego i pewnego wejrze-  
 nia meza, Sydonia pomieszana, tylko  
 oczy spuściła.

— Bardzo mi przykro, odezwał się Stern,  
 że za powierników lekkich nieporozu-  
 mień domowych, obrataw obcych; choćby  
 nawet i najukochańszych rodziców. Mat-

żenstwo jest to węzeł tak delikatny, tak elektryczny, dwójga serc, że i najmniejsze dotknięcie obcej ręki bolesnie uczuć się daje.

— To ma minę bardzo filizoficzno-sentymentalną, rzekta przesowa z złotym uśmiechem — lepiej było nie dawać mojej siostrzennicy powodu zmartwienia i wżalania się.

— Hornuż-to, jeżeli nie matce, oderwała się Pinzerowa z żywosią, — ma powierzyć swoje dolegliwości. Czy i za to będziesz wzywać wyrzuty memu dziecku?

— W istocie, Hochany Sternie, dodał tajny radzia, wahając się między nieukontentowaniem a chęcią zgody — poszedł za daleko — zanadto od Sydonii wy magał.

Doctor spojrzal tylko po wzystkich

spokośnie, podał rękę Łonie, dodając:

— Muszę odejść Sydonio, nie chcesz mi towarzyszyć?

— To impertinent, reszta przesowa namukliwie — spodziewam się, moją Dziecie, że ty zostaniesz.

— Zostanę i ty Sternie, zawotał tajny radca, porozumiejmy się bez goryczy.

— Dobrze, ojcie, odrzekł Stern, - ale o moim stosunku z Sydonią ani słowa. Tęby się znalazło, rozdzierać najświętsze węzły serc. Ja się nie wiałam na nie i nigdy się wiałac nie będę. Niech tylko Sydonia zapyta się sumienia, czy ja w istocie jestem tym kłapsem i zgrzytliwym, jak powiada? a z resztą porozumiejmy się ławo między sobą, i niepotrzeba będzie

ani śledztwa, ani urzędowego pośrednictwa, ani wytoczenia sprawy, przed trybunatem rodziców, zawsze mniej więcej przyjaznych. — Tydonio, ja odchodzę — i proszę s sobą.

Młoda niewiasta stała chwilkę niepewna; lecz miłość odniosła zwycięstwo. Przybiegła do Sterna i rzuciła się mu w objęcia.

— Ty mię zapoznajesz, rzekła, twoje wyrzuty są niesprawiedliwe — patrz ja chętnie s tobą idę; ale bądź dobrym, bądź probierzającym dla mnie; mnie tego potrzeba, teraz może więcej jak kiedy — o tobie wypadła mi oszczędzać — z dwójakiego powodu. —

Wymawiając te słowa, doznata całej gwałtowności przyszłego uczucia,

i objawowy z żywocią szyp, miała, twarz ukryta na jego piersi.

— O moja droga Tydonio! zawołał Stern pełen stoickiego przecucia — wszak ja tylko szczęścia twójego pragnę. Bądźmy zawsze razem — idźmy w zgodzie po drodze życia.

Ta chwila uniesienia, zniszczyła najmniejszy ślad żalu; przesowa nawet zdawała się być zwojżzona, i wszyscy rozeszli się w najlepszej zgodzie.

Nadzieja zostania ojcem otworzyła w sercu Sterna niewyczerpane źródło miłości i tkliwej troskliwości. Wszystkie prośby, wszystkie żądania żony, zarpo-kajad na tykmiast, i ta ciągła obecność wzruszała tkliwe jej serce; w takich też chwilach wyznawata otwarcie, ze skargi Sterna były po czejci stusine; postanawiała działać w jego myśli i

słuchata go zawiśle, z najlepszą chęcią  
 przyszłość, gdy jej opisywał szczegóły  
 domowego życia, wprowadził Stęgo i pe-  
 dantycznie jak mówiła; lub gdy jej  
 wystawiał potrzebę oszczędzania się co-  
 ściolwiek w niektórych rzeczach, na  
 co dobrowolnie przystata. Nie ukry-  
 wał przed nią, że wydatki przewyż-  
 szają do tychczas dochody, że <sup>ich</sup> proto-  
 nie pieniężne nie najlepsze, które  
 tylko rozsądna oszczędność jest w stanie  
 poprawić - i prosił ją nakoniec jak  
 najzupełniej, czy nie mogłaby go wspierać  
 w tem przedsięwzięciu?

Sydonia przyrzekata wszystko,  
 ale w kilka dni wszystko zapo-  
 minata.

<sup>2</sup>  
 Lina minęła. Zabawy, przeciw któ-  
 rym sprawił Stern na daremnie, in-  
 nym ustąpiły miejsca. Mate przejaździ-  
 ła, mieszkanie na wsi, towarzystwa,  
 nie umięzraty wydatków; a lekarz pod-  
 dawał się losowi w ustawicznem oze-  
 kowaniu, że jako przyjazna chwila,  
 może szalony humor żony odmienić.  
 Tej star nadziei, zdawał mu się tę chwi-  
 łą coraz więcej przybliżać; wosytkoza-  
 sadzał na przyszłym dziecięciu; ono  
 miało najprzewiej oderwać Sydonia  
 od hucznych zabaw, światowych; ono  
 miało w niej wzbudzić czuła troskli-  
 wość młodej matki, powołanej wpa-  
 trywać się w dziecie przy jej sercu. Pro-  
 czywa, jak w obraz najświetniejszej  
 sławości i zabudach najpiękniejszej przyszłości. -

Dalej przebiegał wszystkie dawniejsze zdarzenia, i bolewał sam nad sobą, wzdychał i rozmyślał z gorzkiem nad lekkością żony; Czasami po całych godzinach dumał, zastanawiając się nad upłynionem życiem. Przecywiście potężenie i obraz Rozalii stawały <sup>mu</sup> przed oczyma, tak że tylko gwałtownym usiłowaniem potrafił odrywać się od tych marzeń. Jednakże przyszłość nie była dlań jeszcze zapadła, miał nadzieję; dla tego z nową odwagą ~~znowu~~ rzucił przywalający go ciężar i oszczędzał, spokojnie co zdurzył los; a tym czasem usuwał się codziennie więcej od hańbnych towarzystw, które tak polubiła Tydonia.

Będąc z resztą dosyć pobłażającym, chciał przecież w jednej rzeczy naswo-

jem postawić; dla tego korzystat z każdej chwili  
li wzajemnego wynurzenia się, i przygo-  
tował sobie. —

Nie mu się nie wydawało tak prze-  
ciwną naturze, jak widok matki, któ-  
ra przeznaczona od przyrodzenia, karmić  
własne dziecko, śmie poświęcać naj-  
wznioślejsze prawa stworcy, oddając w  
obie ręce najkosztowniejszy swój skarb,  
i wydzierając z serca miłość macierzyń-  
ską jemu urodzona. Matkę zastępować  
~~nie~~ matka, dla tego tylko, ażeby u-  
wolnić się od starań i najświęt-  
szych obowiązków niewiasty, służąc świe-  
żo i piękne lice zachować; byto to  
w jego oczach próżnością okrutną i  
zbrodnią, jaka mogła xrodzić tylko  
nowszych czasów rozpucie.

Do tych powodów tyczyły się jeszcze inne wcale różne. Stern będąc lekarzem, wiedział dobrze, jak wielką odpowiedzialność wchodzi wybór tej zastępczyni matki. Takowa należy zwykle do ludzi niższego rzędu i ma sposobność ~~z~~ wywierac' zgubny wpływ na dzieci które karmi, częstokroć nawet dość długo; dla tego obawiał się nie pomatu z tych kuthów, jakie niedbatość lub wielka chciwość matki, na budowę lub zdrowie dziecka mieć mogła; tem bardziej, będąc przekonanym, że Sydonia otoczona zabawami, nie omieszkła zaprawne, uwolnić się od wszelkiego nadzoru; przytém i stan pieriężny wchodził nani surową oszczędność.

Spozałku Sydonia wsmichata się

tylko na prośbę moją, czasami nawet  
pojmować zdawata się, ważność jego  
powodów; ale czém ta chwila bliższa,  
tém dotkliwszemi stawaty się zarzuty  
Tydonii.

— Widać, tysiące Dzieci, mówią,  
jak są zdrowe i silne chociaż wykar-  
mione od mamiek. Dla tego wierzą  
mi, że mi się, dość śmieszno wy-  
daje, po tylu przykładach, stysieć czo-  
wiska urozonego mówiącego podobnie.  
Każda matka uwalnia się, skoro tyl-  
ko może od tych okropnych tru-  
dów, tych nocy bezsennych, tych kry-  
ków wiecznych i tysiące innych  
przykrości, jakie małe Dzieci spra-  
wiają; a tybys' chciał być tak chrut-  
nym i na imię to wymódz, co czo-  
wisk najstarszy chętnie porwata wój zonie?

Teżeliż te powody u Ciebie nie znaczą,  
 czerkelt Stern z głębokim smutkiem,  
 dowiedz się na koniec; że ja majątku  
 nie posiadam, a teraz nawet ~~nie mam~~  
~~jestem~~ mniej mam niż kiedykolwiek. Przy-  
 tem, daleko jestem nie szczęśliwym teraz,  
 aniżeli dawniej; gdym samotny i nie-  
 znany piechota przebiegał ulice, i nędznie  
 za lichy grosz się żywił. Nic miałem w  
 prawdzie nie w tenexas, ale za to przy-  
 najmniej byto mi lekko na sercu, bo  
 nie byto długów. Twoja namiętna  
 chęć zabaw i marnotrawstwo wszelkie-  
 go rodzaju, udaremniły moje stara-  
 nia. Nadto bytem słabym dla Ciebie,  
 z miłości tylko zasprośiajatem wszyst-  
 kie twoje ządania, pragnąc jedynie,  
 uszyć cię szczęśliwą. A teraz Tyo-

nie, błagam cię na Kolanach, zaklinam  
cię - chciej uznać słuszność mego za-  
dania, pamiętaj że cała nasza przyszłość  
i szczęście jedynie od jego wykonania  
zawisło.

Wymawiając te słowa, objął jedną  
ręką jej kibić i patrzył na nią, z  
boleścią rozrzewniającą, w każdym ry-  
sie odbita. W oku błysnęła łza, i spa-  
dała wolno i gorąco na rękę żony. Tak  
wzruszonym nie widziała go nigdy.  
~~W~~ ten chwilek poważny i zimny,  
plakał; - o ileż to on uciepić mu-  
siał, zanim do tego przyszło. Posep-  
ne przecucie tego, co się działo w du-  
szy męża, zakwitało sercem Tydonii;  
uczuta, że to była chwila uroczysta  
i stanowcza w jej życiu; a przecież wa-

hata się postanowić.

— Teżeli twoje potożenie jest tak niebezpieczne, czemużes' mi to pierwej nie powiedział otwarcie?

Tu spojrzat na nią wzrokiem wy-  
rzutu.

— Takto, odrzekł, i jaż ci nie mó-  
witem? czyż nasze nieporozumienie  
s początku, czyż harde moje słowo  
nie tłómaczyło ci to dostatecznie i  
jasno? a nareszcie wlasne twoje za-  
stanowienie się, nie powinnoż ci  
było o tem przekonać?

Sydonia szczerwieniata.

— Teżeli tu tylko ta niedogodność  
zachodzi, odrzekła po chwili milce-  
nia, to przynajmniej pozwolisz mo-  
im rodzicom ponieść te koszty.

Po tych słowach użut Hesn, jakby

burzę, bijącą w jego duszę, a serce niewymowna rozdzierata mu boleśń.

Ostatnią nadzieję widział upadającą, a przyszłość rozwijającą się przed nim w istotnej swej okropności.

Wstał blady jak trup i rzekł przytłumionym głosem: — Będziesz miała, czego żądasz.

— Nie! nie! zawołała ze strachem, zrobię wszystko co zechcesz.

Widok jego boleśńi wzruszył ją mocno, i wzbudził uczucie winy.

Ale ta przymuszona uległość nie uspokoiła Sterna. Czuł on nadto dobrze, że postanowienie żony byłoby porywaniem, że je zrobiona z odrazą i wkrótce tego pozatuje. Je-

Inakże starał się tę zgodę utwierdzić, i po-  
 dwajał tkliwe dla niej zabiegi. Trochę drę-  
 czące go w skrytości, rozpruszał ją mięgi,  
 i zdawał się nie uważać na gnieciono spoj-  
 rzenia matki, która postanowienie córki  
 ganita, uważając dwukrotnie jej ociaga-  
 nie się jako powód nieufności Ste-  
 nowi. Jednakże nikt nie pozwalał się u-  
 skarzać w jego przytomności; aż Tydonia  
 sama głośno zaczęła narzekać. Tak pow-  
 ne i pełne godności byto potozenie  
 Stema względem familii, w której pa-  
 nowało jakies' niebłogosławien'stwo ogólne.  
 Tydonia stała się matomówna; Ste-  
 nowo często ją we łzach zastawał; spytać się  
 o przyczynę, nie miał odwagi, bo wtedy do-  
 piero burzaby zaryzata... Już więc co-  
 raz bardziej znikata wszelka szczęśliwość

z domu, gdzie oczekiwano co chwila naj-  
słodszych rostkoszy, w świecie.

W końcu ta chwila nadeszła. Stern  
z niewymowną stodyją wziął na ręce  
nowonarodzonego syna i przyisnął  
do serca. Potem potrzył go obok ma-  
tki i, z uniesieniem padł na kolana  
przed nią. Z gorącym uściskiem uca-  
tował jej rękę, a ona spojrzawszy  
nań z uśmiechem, wzięła Dziecię, po-  
pieszcila się z niem, przyisnęła do  
serca i rzekła s cicha do męża:

— Kochany Gustawie! może to będzie  
lepiej - przystań na moje ządanie,  
choć teraz.

Słowa te ciał śmiertelny zabaty  
mlodemu szereściu matronów. Stern  
powstrzymał swój, żal, a wzburzenie

wszystkich uczuć ostonit w prozby i pie-  
 szoty. - Napierania się dziecka ohar-  
 me sprawiły bole Sydonii; płaka-  
 ta, narzekata; i kilka dni minę-  
 ło na ciągłych usiłowaniach męża,  
 używającego wszystkich środków, aby  
 zionie wytłomaczyć konieczności cierpli-  
 wości i początkowej niewygody. Ale  
 to wszystko nadaremnie. Opierała się  
 coraz więcej - a mąż się przekony-  
 wał, że jej tylko na dobrej woli  
 zbywato. Nareszcie stracił już zupeł-  
 nie nadzieję. Przyjęto mamkę, ale  
 tak ślugie i daremne szamotanio  
 się dziecka, złamały już młota jego  
 budowę. W krótkie zupełnie uwiedta; i  
 tak to młode życie zgasto w kilka  
 tygodni, ledwie że się wykluto.

Stern poglądał na kolebkę z bole-  
sca, gdzie się to biedne dziecko rzucato  
jeszcze w ostatnich dżaniach skonu,  
a Tydonia siedziła smutna i zadu-  
mana na przeciw niego. Głębokie mil-  
czenie panowato w okolo; lampa wi-  
sząca u potapu posępniem migotata  
światłem, czuwato tylko dwoje mat-  
żonków.

Naraz dziecko przeciagnęto się w  
drgnieniu konwulsyjnem, wydato  
po raz ostatni głębokie westchnie i  
opadło bokiem, strętwiate. Stern zer-  
wał ostonę z lampy, i żywe światło  
oblatło zwłoki dziecięcia.

— Patrz! to twoje dziecko, okropnym  
głosem zawołał Stern. — Jego ostatnie  
westchnienie ostrzazza ciebie. Crucitas!

go pierwszej, a teraz ono ciebie opuszcza!

— Faktz! silnie zawołata Sydonia, ono ciebie oskarża — zabites' je twojém okrucienstwem względem mnie, twoją zatwardziałością nieludzką.

Stern wyprostował się dumnie i rzekł: — Ze to nieprawda, sama do brze wiesz o tem, bo się czerwienisz i drzyz przed oskarżeniem własnego sumienia. O! staraj się wytłómaczyć sobie, że ja morderca tej nieszczęśliwej istoty — możesz mieć to zadowolenie, ogłoś to nawet przed światem — być może, że ci uwierzą; — ale to blade widmo, co wstaje między nami, rozdziela nas na zawsze. Daj Boże, aby ci nigdy nie miewzato sny!

— To mówiąc oddalił się spiesznie, a

Sydonia w rozpacz, padła ze łzami  
na zwłoki dziecięcia i okryła je poca-  
łunkami. -

## VII.

Wiosna i piękne lato, lekkie tyłko zmia-  
ny, zrobity, w swobodnym i wesolem życiu  
Rozalii. Zatrudniona ustawicznie, szczę-  
śliwe chwile spędzata w posród kwiatów  
i zieleni wielkiego i pięknego ogrodu. Tył-  
ko ojciec starszych czasami ją niepokoił.

Umysł poczciwego profesora stabił się stopniowo, od czasu jak się odsunął od usług. Nie będąc chorym, stał się jaskrawym, jakiegoś dziwnego niepokojem i sam dla siebie jak najdowcipniej wyszukiwał uderzeń. Po całych dniach siedział w swoim pokoju, marzący i obojętny; ta jak każdego, kto się tylko powazył przerwać mu jego samotność, a nader wszystkich córki, starająca się obudzić go z tych marzeń utudy. W jego głowie krążyło tysiące urojeń: raz zdawało mu się, że jakiś skryty nieprzyjaciel dybie na jego życie; w tenzas zamykał się, i niepodobna było go namówić, aby się choć trochę posilił. Rozalia, jak mówił, miała go otruć. Inną razą wyszedł nie wiedzieć

głowie z domu, i niepowracał aż w kilka dni, straciwszy to co z sobą z oszczędzonych trochę pieniędzy, swej córki był zabral. Po tych obłędach następowato omilenie i głęboki smutek pochodzący z uczucia własnej nędzy. W tych przerwach otaczał się dobrym, pobłażającym i tliwym; nawet pojmował boleści Roxalii, która nie tylko że najmniejszej nie wydała skargi, ale owszem podwajała jeszcze troskliwość o biednego ojca z zachwianym rozumem.

Tym czasem nie zmniejszato się uczucie Fowberga dla Roxalii. Odwiedzał ją często, i jego ku niej skłonność, przy każdym pożegnaniu, coraz dobitniej się wyrażata. Jego uczucie było jakis' osobliwsze, dziwaczne, zatrzymu-

jące na ustach każde oświadczenie, sta-  
 nowcze. Sam nie wiedział, skąd taka  
 obawa - i ten co dawniej tak śmiało  
 słowa przysięg za jednym oddechem  
 wymawiał; tą razą stał nierny i po-  
 mieszanym, chociaż dopiero prawdziwie  
 kochać zaczął. Wzniosły umysł  
 młodej dziewczyny robił na nim dziwne  
 wrażenie. Czując nadzwyczajny dla  
 niej szacunek, malat sam w sobie,  
 przed głębochością jej rozumu i myśli,  
 a to uznanie wyższości Rozalii, czy-  
 niło go bojaźliwym i skłonnym do tę-  
 sknych marzeń. Często badał sam  
 siebie, usiłując znaleźć jakiś powód w  
 Rozalii, co by mu ścisłejsze potęrze-  
 nie się z nią niepodobnym okazał. Sta-  
 ry jej ojciec, jego pomieszanie zmysłów,

zdawało mu się najwięcej niby stać  
 na przeszkodzie, ale to jeszcze nie  
 było przyczyną wahanja się. Ta przy-  
 czyną była raczej Rozalia sama.  
 Miła i majestatyczna pewność jej  
 postaci; potęga i stanowczosć wo-  
 li; nakoniec ta moc duszy, co nie  
 zna ani bojaźni, ani powisków losu;  
 jest panią swych namietności; przed  
 niczem na ziemi nie padnę. Tak cha-  
 rakter czynił na nim wrażenie, i stał  
 poszanowanie dlań silniejszym byto  
 nawet niż miłość.

Stan rzeczy podobny, stawał się  
 coraz Towbergowi przykrzejszym.  
 Sprzecznne uczucia ciągle kotłowały ser-  
 cem, chwiałły wola. Znajdując się razem

z Rozalią, drwione niewał wrażenia.

Wszystkie jej czynności, wszystkie słowa, wydawały mu się, jakby gra promieni jakiejś wyższej istoty, obcej uczuciom ziemskim. Jej rozmowy jaśniały powagą; myśli ptonęły w ideały; a rzeczy zwyczajne nabierały w jej ustach powabu boskości. Tęm wszystkim, tak była prosta i naturalna; tak obca fałszywej exultacji; tak czysto-ludzka i miła, tak szczerą i dobrą; że Forsberg nie będąc przy niej, gniewał się sam na siebie, niepojmując; jak serce pełne uczuć tak nagrzanych i tak gorące; mogło być oziętą tak zimnem i nieczułem! Ciche przecucie obiecywało mu wzrost, pow-

pewność ręki Rozalii, skoroby tylko  
 zarządzał; bo jej własny rozsądek tak  
 radził. Lecz jego ządania rozciąga-  
 ły się dalej. On pragnął miłości;  
 za swoje uczucia namienne, pragnął  
 namienności na powrót. Z bijącym  
 sercem szukał w niej śladu czu-  
 ści żywszej, a nie znalazł nic, prócz  
 dobroci i pogody, pięknej i poświę-  
 conej duszy anioła.

Zwolna te myśli nawet w jej  
 przytomności gorę nad nim braty.  
 W ten czas siedział przy niej marza-  
 cy - mówił tylko półgłosem albo nie  
 wcale; potem nagle powstawał i od-  
 dał się s pospiciem. Rozalia  
 s przykrością to uwariała. Nie tajno

jej, co się w nim działo, bo ona tam  
 pania. Zastanowiwszy się dostatecz-  
 nie, urwała, że czas młodego przyja-  
 ciela pogodzić z samym sobą, i wy-  
 rwać go natłoniem i zamieszania i  
 niepewności rozdzielającej mu duszę.  
 Poczwała się do wdzięczności, wie-  
 dząc oddawna, że to on wszystko  
 jej małe obrzydki skupował. Z jego  
 przyrzeczeń używała od roku swobody  
 i dobrego bytu; a szkoda było ten  
 dobroczynny węzeł tak szlachetnej  
 przyjaźni jedną razą przerywać.  
 Dla tak pięknego postępowania przy-  
 jaciela, czuła się być obowiązana,  
 otwarcie całą mu prawdę wyświe-  
 cić — tem bardziej, widząc, jakiego

namitność do niej, ciążyła jego wspaniałemu sercu.

Raz pięknego wieczora, Forsberg wszedł do ogrodu. Lato dobiegające już kresu, było szczerzo w całej okolicy pod sklepieniem czystego ciemnego błękitu. Powietrze lekkie i przejrzyste falowało stodo i rozkosznie po wzle młodego mężczyzny; a promienie zachodzącego słońca ciemniały w matowej czerwieni, a odbijając się od drzew wierzbokosów, barwiły migocącym odzieniem wszystkie kwiaty i dojrzewające owoce.

W oku Forsberga lśniła stodo i skłota; myślał, co by to było za prześlicie dla niego; gdyby go w tej chwili spotkała Rozalia, gdyby ją mógł przywitać jak swoją narzeczoną, taką młoda, tak przepięka, i gdyby ten miły

blaski słońca miał jego szczyście oświe-  
tlić. Porwany i smutny przechadzał się  
w milizierii pod sklepieniem zieleni;  
niepodobna było pokazać się jej w  
tej chwili. Przebiegłszy piastkiem wy-  
sypaną ulicę, obaczył się na raz w głę-  
bi ogrodu. Naprzeciw niego stał profesor,  
rzucając na wszystkie strony dzikim i  
pomieszczanym wzrokiem.

Biedny starzec trzymał wielki kosz  
w jednym ręku, a druga oparł się na  
drabine, przystawioną do konarów opom-  
nej gruszy. Rysy wychudłe, wyjemione  
członki, wzrok dziki osowiałego oka,  
wskazywały aż nadto głębokie ślady  
choroby i pomieszczanych zmysłów.

Postrzeższy Ferberga, przybiegł do  
niego, pochwycił za obie ręce i ścisnął z  
~~wzrokiem~~ z oznaką żywej niespokojności.

— Nie wydaj mi, rzekł, nie mów co ja robię.

— A coż Włan robisz, zapytał Forsberg z uśmiechem.

— Ja chcę narwać gruszek i sprzedać, odrzekł starzec cichym głosem.

— Ale ten ogród nie należy do Włana ani jego owoce — odpowiedział Forsberg.

— To prawda, odrzekł stary profesor, — ale jakże? mam umrzeć z głodu? Życie ważniejsze niż gruski. Trzy dni już, nie jadłem nic. — A to obropnie — umrzeć z głodu.

— A czy Rozalia nie stara się o Włana?

— Stara się, odrzekł starzec cichym głosem, — ale co ja zjem — tego już nie ma, a potem co? Jesi znówu potrzeba, inaczej być nie może. Coż ju-

tro.<sup>2</sup> a co na przysity tydzień.<sup>2</sup> No- no- idź sobie. - Tam tyle gruszek - niepoznają ubytku - a ty mię nie wydasz? nieprawdaż?

To mówiąc pobiegł i polazł na drabinę.

— Ach! jakież to długie cierpienia, gotuje sobie i biednej Rozalii, ta dusza w mekhash! zawoł Forsberg. Wprawdzie skonczą się kiedyś dla niej; ale co za kós dla młodej dziewczyny?...

Zwolna zwrócił się ku domowi. Na tarasie z darni usypanej przed bramą, siedziata Rozalia z książką w ręku. Na widok Forsberga, potoczyła ją i podbiegła ku niemu z uśmiechem.

— O długom czekała na Pana, proszę, siąść tu koto mnie, bo mam z nim

dużo do mówienia.

Forsberg zajrzał do książki, która czytata. Tytuł: Tasso Getego. Potem patrzył na nią wzrokiem badawczym.

Rozalia składaąc ręce na książce, z uśmiechem zapytata.

— Któren charakter, Tassa czy Antonia, uważasz Pan godniejszym cztowieka? Czy natchnionego hochantia, zapalernia: albo cztowieka poważnego, doświadczonego, co poznał świat i serce ludzkie?

— Mnie się zdaje, odrzekł Forsberg zdziwiony, tém nagłym zapytaniem, że poeta chciał umieścić tu dwie postacie, jedne na przeciw drugiej, niby dwa bieguny. Tamta ma przedstawiać

idealności, a ta rzeczywistość. I tak podzi-  
wając wzniosty kształt ducha, przed kło-  
nym świat dotykalny, ginie w odmęcie  
świata wewnętrznego, światu myśli; wi-  
dziemy, że to nie dosyc: czuć z uniesie-  
niem i zapomnieć świat rzeczywisty w  
świątecznych wysileniach zapatu; potrze-  
ba oraz pewnym nieomylnym, wzrokiem  
patrzeć w czynny życia towarzyskiego, je-  
żeli nie chcemy upaść przez ich wstrząśnie-  
nie.

— Wice u Pana jest Antonio jest prawdzi-  
wym człowiekiem? rzekła Rozalia.

— Proszę nie zapominać, odrzekł Ton-  
berg, że w tych dwu postaciach, poeta  
chciał przedstawić dwa pierwiastki zasa-  
dnicze umysłu ludzkiego. Pomyśl onych  
skrzyślit z najściślejszym następstwem: z

jednej strony, wyobraźnia; uczucie głębokie  
 wszystkiego, co jest wielkiem i pięknem;  
 nawalność uczuć, łatwych do poruszenia;  
 gwałtowny pociąg ku teraźniejszości; pa-  
 nowanie namiętności i zmyśłów; - a to  
 wszystko bez oporu - bez rozważań: z dru-  
 giej strony zimna i roztropna rachuba,  
 dyplomatyczna wszelkiej namiętności po-  
 wściągliwość; subtelna i lekka przenikli-  
 wość ducha kupieckiego, który za pomo-  
 cą swoich dowcipnych spekulacji, umie  
 wyciągnąć z życia wszelką możliwą ko-  
 rzysć. - Jest to wieczna walka między  
 sercem a głową, między uczuciem a my-  
 ślą. I ludzie podlegli są tej obojczy potę-  
 dzie; nie należąc jednak ani do jednej  
 ani do drugiej wyłączenie. Chodzi tu

tylko o to, która z tych dwojga potęg przeważa: czy zimna rozważa i jej ra-  
dy rozstrzyga, mogące zmienić życie na  
subtelizowanie myśli.....

— Czy serce i gorąca krew, przeważa  
ta Rozalia - szczególnie serce, co stę-  
pione doświadczeniem życia, wśród  
świata utworzonych przez siebie ma-  
rzen, przychodzi wkrótce do rozpaczki  
i do szalenstwa.

— Otóż właśnie dla tego, wielkiem jest  
dobrodziejstwem opatrności, odrzekł  
Forsberg wzruszony; że rzadko się zda-  
rza, aby którakolwiek z nich objawi-  
ła się wyjątkiem w otowietku.

— A Panie do której z nich z nich  
skłonność? zapytała Rozalia.

Forsberg wypatrzył się na dziewczynę  
i odrzekł z uśmiechem:

— Ładnie mi się, że do serca i namięt-  
ności!

— A mnie, odrzekła Rozalia z bólem,  
wytaczasz Pan z obrębu tchliwych i serdecz-  
nych uścisków? Z jednej strony może i stu-  
żenie - ale z drugiej niestwierzenie. Ach! au-  
ję ja z uniesieniem i prawdziwie - z  
zapamiętaniem utworzyłam dla siebie świat naj-  
piękniejszych marzeń; ale je z życiem  
nie mieszam - nie zapominam że ma-  
rze. Ktoż teraz szczęśliwszy? czy ten co  
się poda na los, oczekując z odwagą i  
sercem nieustraszonem jego podstępów:  
czy ten co się wiecznie spodziewa, któ-  
remu w myśli tysiące wyrasta kwiatów  
jako przedmioty żądaj; i którego potem nad

każdym z nich ptacze i jeży. Ale i on  
 ma swoje rośliny, jakich prawie  
 nigdy nie razna state i zimne serce.  
 Wprawdzie gorąca krew smaga go i drę-  
 czy za każdą straconą chwilę; ale też  
 znowu najtawiej, do nowej mitosi, do  
 nowych wezwie go marzeń. — Pozwa-  
 lam Panu, że moje serce uległo rozu-  
 mowi; ale, chociaż w długiej zwyciężone  
 walce, bynajmniej jeszcze nie zmartwia-  
 ło. O biada, kto już powie o sobie: mo-  
 je serce jest martwe! To musi być po-  
 czwara. Ale znowu i temu biada, kto  
 się jedynie popędem serca kieruje! —  
 Serce! to istota bezrozumna, niestata,  
 ślepa, namiętna, dziwaźna, mania-  
 ca, straszęto naszego życia, co nas

tajemniczym kotem okresa; anielskim  
 widzeniem upaja; — a gdy przyjdziemy  
 znowu do siebie — przerzuci się w ho-  
 sciotrudy, i przebrzyjele widma. — Po-  
 trzeba więc xdrzec powab, chociaż się  
 nam jak roskoszyrn wydaje. — Ale  
 Pan widzę takie marzysz, potrzeba  
 go obudzić.

J byto-to jakby iskra elektryczna,  
 ktora drgnęła mu sercem; gdy Roza-  
 lia wzięła go za rękę i stodkim wzro-  
 kiem spojrzęła w jego jaśniejącym o-  
 bliżu.

— Pan mię hochasz, rzekła podchw-  
 li, i od niejakięgo czasu powiadęś  
 postarowienie ofiarowac' mi swoję  
 rękę.

— A Rozalia, odrzekł wzruszony, chce

mi dowieść, że to szalenstwo, i że nie mam się czego spodziewać?...

— Nie, mój przyjacielu, zawołała Rozalia — nie-wistocie: Chce cię tylko wybadac, czy cię prawdziwie uszczęśliwić może. Jeżeli ci się zdaje, że może, i będe twoją, i każda chwila mojego bytu, życie całe — do ciebie — jedynie do ciebie — odtąd należec będzie.

— Skł'nytaj, zawołał Forsberg obejmując jej kibić — odpowiem ci s całą otwartością serca. — Oby Bóg opiekun Kochanków, natchnął mi swoja wymowa!

— Najprzéd, rzekła Rozalia, — przyjm zaręczenie szczerzej i wyła-nej przyjaźni. Ale nie myśl, że to

jedynie twoja dla mnie przychylność, lub  
 moja wdzięczność tym mię uczuciem na-  
 lehnęty. O! nie —, twoja dobroć i roztropna  
 słachetność, twoje czynne życie i obecny  
 stosunek, co nam dopomógł ocenić się  
 wzajemnie; wywarły na mnie ten  
 wpływ. Tu mam dla ciebie wielki sta-  
 cunęki, czuje jak najmocniej twoją war-  
 tość; wiem że s toba nie podobna mi  
 być nieszczęśliwą; ale... ja cię nie  
 Kocham.

Ręka Forsberga spoczywająca w  
 ręku Rozalii, opadła zwolna, a na  
 twarzy ognisty wystąpił rumieniec.

— Tak-to tak, Rozalio, odrzekł smu-  
 tnie, ty ~~nie~~ <sup>nikogo</sup> nie Kochasz, bo nikogo  
 nienawidzić nie umiesz.

— Kocham, odrzekła zgodnością —  
 Kocham i umiem nienawidzić — ale ni

jedno ni drugie, tylko za popędem krwi.  
 Ja, kocham lub nienawidzę w miarę sily  
 mojego przekonania. Tak kochalam  
 Sterna, tak go kocham dotychczas, i nie  
 mię z nim rozdzielić nie zdoła. Ty zaś  
 jesteś człowiekiem namiętnym - na  
 twoje postanowienia równie jak na  
 twoją przyszłość, mają wielki wpływ,  
 krew i wrażenie chwilowe, osoba, jak  
 ja, zimna spokojna i rozważna,  
 to nie dla ciebie. - Tobie potrzeba żyć na  
 wielkim świecie; a ja wolę szczerpć  
 grono przyjaciół drogiej mojemu sercu;  
 ty posiadasz wszystko, co ty tylko  
 życie umiść, urozmaicić i uświetnić  
 potrafisz: ja zaś skłonna jestem do ży-  
 cia odosobnionego w zaciszu, do szcze-  
 ścia pretnego stodajcy i pokojny, do  
 oddalenia się od burzy świata; coby ci

się niezawodnie nudném, a może i nie-  
znośném stato.

— Czy do tego stopnia udato mi się  
pożytkać twój szacunek? wyrzekł  
z bólem Forsberg.

— Moją szacunek, zawołata Ro-  
zalia - o wieraj mi - nigdy mi ci go  
tyle nie okazywała jak w tej chwili.

Przed nami są dwie drogi moją przy-  
jacielu, ale ni jedna ni druga nie pro-  
wadzi do szczęścia. Ty, znużony pro-  
kojem mej duszy; albo zerwiesz te  
więzy, w które moja przystośność<sup>3</sup> wzię-  
ła twój charakter, i z gwałtownością<sup>2</sup>  
daleko okropniejszą, rzucisz się w od-  
met świata... a w ten czas ja dla  
ciębie - zły duch, smutne i posępne  
tło twoich myśli; źródło boleści, w ci-  
całe życie zaleje i popchnie w namię-

tną rozpuścić; - albo...

Tu zatrzymała się chwile, przeglądając na blada twarz mężczyzny, na której wyryte było, prawie zupełnie omdlenie na duchu.

— Albo, mówiła dalej, przy ogromnej mocy mojego charakteru i za nadto silnym nad tobą panowaniu: życie twoje stłumione niknie lub skrzewi się, jak roślina - ty się poddajesz - postępujesz, podstępny oholizności, jak estowielś łagodny i delikatny; ale to wszystko powolnie, bezsilnie, wiecznie w nieprzewności, aż dorochad ostatnia sprężyna twojej dzielności nie pęknie; a potem już tyłkła jak maszyna chodzić będziesz pod wpływem obcego nacisku.

Po tych słowach nastąpiło długie mil-

czenie. Forsberg patrzył w dot, a w sercu wrzały gwałtownie rozmaite uczucia. Miłość i duma; burzliwy gniew wywołany samolubnym tlómaczeniem się Rozalii, a przytém przehowanie o jego prawdzie i tajemny wstyd z podobnego przyznania: wszystko te uczucia staczały w nim straszna walkę, barwiąc twarz grubą czerwieńią. —

— Ale czy niema jeszcze trzeciej drogi, zapytał po chwili, czy nie możnaby te ostateczności potążyć? Czyli już tak niemierna i doskonała sądzisz się być, Rozalio, że mój charakter nie potrafi przestąpić twojego, i rozciąć harmonijne łańcuch się tych rozmaitych żywiołów? ... ży-

jest samotnie, odoobniona od świata;  
 ja cię z nim pogodzę; pogardzisz ~~wszystkim~~  
 wszystkim co jest prozaične: ja po-  
 równam różnicę; w końcu precyzyjne  
 żywioły, co dręta nasze serca i rozum,  
 w jedno zlejemy - ja wzmacniać bę-  
 dzie w tobie chwilowe wrażenia życia:  
 a ty na wzajem, będziesz utrzymy-  
 wać we mnie wyższe pojęcie wła-  
 snej godności i siły ducha.

— Alboż ty mniemasz, że mnie  
 brakuje czułości? odrzekła żywo Ro-  
 zalia. Czyj moje serce nie uderza  
 silnie na każdą piękność i wielkość?  
 Kwiatów, gwiazd, myśli piękna,  
 czy nie zachwycają mnie rozkosznie?  
 Czyj nie podzielam radości i smutków,  
 co może dotknąć istotę ludzką?...

Potrzeba mi tylko pogodzić się sformami życia, które są dla mnie taksi suche i martwe. Jeżeli to potrafisz, jestem twoją - i tej myśli podaje się z zaufaniem. Tak, mój przyjacielu! spróbujmy wzajemnie się uszczęśliwić.

Forsberg pochwycił z żywością rękę Rozalii i zaczął z nią oświadczac swoje uczucia. Wtém w głębi ogrodu dat się styścić toshot tarniącego się drzewa.

— Ach! cóż-to takiego, zawołała Rozalia.

— O Boże! zawołał Forsberg. Twój ojciec!... boję się jakiego nieszczęścia.

Rozalia wymknęła się spiesznie

i pobięła.

— Zaczekaj, posłuchaj mnie Rozalio!  
zawołał Forberg.

Ona nie słuchając, daleko go wy-  
przebieła i stanęła u drzewa. — Dra-  
bina wywrócona, na niej ogrom-  
na gataż utamana; a między liwciem  
i owocem leżało bez ruchu ciało starca.

Rozalia stała chwilę niema, drżą-  
ca i blada nad tym okropnym zja-  
wiskiem; potem z żywością zewa-  
ta gataż i drabinę które przywały  
jej ojca i uklepta nad nim.

— Odycha! zawołała zrywając się,  
ratunku! Forberg! przedko-  
ratun-  
ku!

Studnowością, drwignęli <sup>stoję</sup> potłuro-  
ne ciało starca i zanięśli je zwolna.

do domu. Złotony na łóżku, głęboko  
jeszcze raz westchnął starzec - ale  
to było westchnienie ostatnie... - Ro-  
zalia padła na kresło, pochwyciła  
owistą rękę ojca i z wielkim bólem  
przycisnęła do serca.

Forsberg porwał za kapturkę i  
chciał odejść.

- Dokąd? zapytata Rozalia.

- Po lekarza - zawołał pomieści-  
ny.  
- Lestari, odrzekła scicha - już  
nie potrzeba lekarza - nie żyje.

Wzięta za rękę zmarłego, i złożyła  
mu je w kielich na piersi, wierznie  
już odąd spokojnie - i pocatowała  
go w czoto. Potem odwróciła się. Dzin  
już dogorywał, a jeszcze ostatnim pło-

mieniem błysnął przez okno i opromie-  
nit miłe bladą twarz umarłego. Roka-  
lia oblana również tym ostatnim bla-  
skiem zachodu - światła jak jutrze-  
nka, stała w majestacie pięknego obli-  
ca - wzniosta cierpieniem, wzniosta  
rezygnacją, i wsmiechając się miłe jak-  
by duch jaki, silnie wstrzymywata  
cisnąc się try. -

Forsberg, poglądał na nią smu-  
tnie i z zadziwieniem. - On niepoj-  
mował takiego panowania nad sobą.  
Od tej chwili tak uroczyściej, tak stru-  
szej, nie wstydzał ni skargi ni  
westchnienia - co podwajało jeszcze o-  
bawę, która go natchnęła ten dzielny  
charakter.

W tem drzwi się z lekka otwały.

i wśród Stern. Postać miał blałą i  
znuzoną - postąpił z wolną ku Ro-  
zalii nawet nie uważając Forsber-  
ga.

— Ołóż jestem, rzekł - stwórznieś mó-  
wita; zrobiłem na sobie okropne do-  
świadczenie. Jestem zmęczony i straci-  
łem dziecię; moja żona mnie porzuciła,  
kom ja nieszczęśliwa użgnit. Do cie-  
bie przychodzię Rozalia, szukać poko-  
ju i siły - pojednania się z samym  
sobą. Przyjmieszże mię, czy mam się  
na prawo oddać?<sup>2</sup>

Rozalia wskazała ręką na tożho  
i rzekła poważnie: — Wiedzisz<sup>2</sup> mój  
ojciec.

— Umart! zawołał Stern.

— A to mój narzeczony, dodała gło-

sem pewnym.

Stern spojrzal na Forsberga, a blada i pomieszana twarz ozywila się znnowu; widac' byto, jak bół wewnętrzny siagnął mu rękę.

— Będzie prześliwi, rzekł przy-  
tłumionym głosem i w pewnym wy-  
razem wieszczego ducha — prześliw-  
si odemnie... to są moje życzenia...

Potem z wolna ku drzwiom się  
zawrócił. Forsberg pochwycił go za  
rękę i nagle zaprowadził go przed  
Rozalią. Nie mówiąc słowa, rękę  
lekarza złożył na rękę Rozalii,  
i wybiegł spiesźnie s prochojki.

Stern stał chwilę zadumany,  
jak gdyby się zagubił w marzeniach,

a potem widnie usciwnał Rozalię.  
Ona pochylita się mu na pierwi, i  
tę niezwykną spłygnęty gorąco na  
twarz zaptakana dziewczicy.

— O moja Rozalio, zawotał na-  
koniec. — Przebaczasz zaptakanemu?

— Będziemy szczęśliwi — moją gusta-  
wie, rzekła wznosząc ku niemu wiel-  
kie oko natchnione. — Czuje że to  
jest naszym przeznaczeniem. —

W rok potem Rozalia była szczę-  
śliwą matronką Henna, któren się

już wcale nie kłopotat, gdy jego stary  
ojciec u stołu godowego wyrzekł kilka  
słów prosto, dając błogostawien-  
stwo młodej panie, a porzuca pa-  
ni matka w zachwyceniu uściskną  
piękną, niewiastę w całej okazałości  
stroju panny młodej.

Gdy już Paristwo młodzi zosta-  
li sami; Stern pokazał żonie pi-  
smo, które nie dawno odebrał. Ro-  
zalia czytata je z uśmiechem. Była  
to wiadomość o ślubie rozwódki  
Konwyliarzewej po Sternie, Sydo-  
ni s Pinzerow - z młodym rad-  
cą Finansowym Forbergiem.

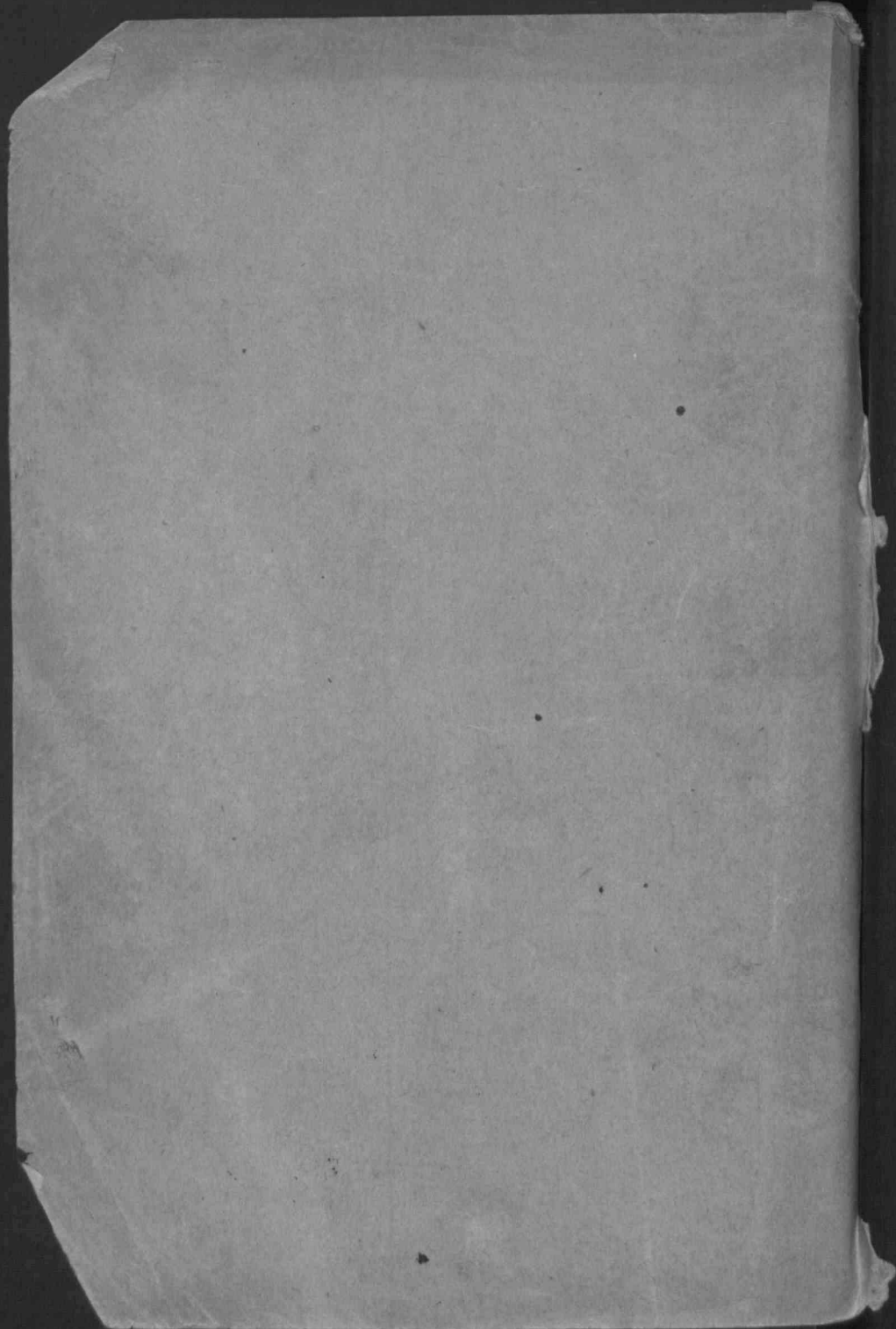
Dziś, zawotata Rozalia - w tym  
tak mitym dniu, jeszcze da nas

201

jedna ucieka. Oni tylko tym sposobem mogli być szczęśliwymi, i będą niemi niezawodnie. —

Z księgozbioru  
Stanisława Spittala  
Dział, \_\_\_\_\_ No, \_\_\_\_\_

*Thoniec.*



Skanowanie i opracowanie graficzne na CD-ROM :



ul. Krzemowa 1

62-002 Suchy Las

[www.digital-center.pl](http://www.digital-center.pl)

[biuro@digital-center.pl](mailto:biuro@digital-center.pl)

tel./fax (0-61) 665 82 72

tel./fax (0-61) 665 82 82

**Wszelkie prawa producenta i właściciela zastrzeżone.**

**Kopiowanie, wypożyczenie, oraz publiczne odtwarzanie w całości lub we fragmentach zabronione.**

**All rights reserved. Unauthorized copying, reproduction, lending, public performance and broadcasting of the whole or fragments prohibited.**